



STEPHEN
CRANE

Blue
Hotel

LIANA LEVI  piccolo

Stephen Crane

BŁĘKITNY HOTEL

I

Żaden z nich nie znał barwy nieba. Spojrzenia ich biegły poziomo i więzły w falach, które ku nim gnały. Te fale miały odcień łupku, tylko na szczytach były z pieniającej się bieli i wszyscy znali barwy morza. Horyzont ścieśniał się i rozszerzał, opadał i wznosił, a zawsze jego krawędź jeżyła się falami, które pchały się do góry ostro niby skały.

Niejeden człowiek ma zapewne większą wannę niż szalupa, która unosiła się na morzu. Owe fale były złośliwe, barbarzyńsko strome i wysokie, każdy zaś spieniony szczyt stanowił problem w nawigacji małej łódki.

Kucharz siedział w kucki na dnie i wpatrywał się w sześć cali burty, która oddzielała go od oceanu. Rękawy miał podwinięte na tłustych ramionach, a poły rozchełstanej bluzy dyndały, kiedy się schylał, żeby wybrać wodę. Często mawiał: - Rany! Teraz nam niewiele brakowało. - Zaznaczywszy to, nieodmiennie kierował wzrok nad wzburzone morze, ku wschodowi.

Mechanik, który sterował jednym z dwóch wiosł znajdujących się w łodzi, czasami z nagłą się podnosił, aby umknąć wodzie wdzierającej się przez rufę. Cienkie to było wiosło i często wydawało się, że zaraz trzaśnie.

Korespondent pracujący drugim wiosłem spoglądał na fale i rozmyślał, czemu tu się znalazł.

Ranny kapitan leżący w dziobie łodzi był w owej chwili pogrążony w przepaścistym smutku i obojętności, które nachodzą, przynajmniej na czas jakiś, nawet najdzielniejszych i najbardziej wytrzymałych, kiedy chcąc nie chcąc silny zawodzi, armia ponosi straty, okręt idzie na dno. Dusza pana statku, choćby dowodził nim zaledwie dzień, tkwi głęboko korzeniami w jego belkach; na tym zaś kapitanie odbił się ostro w rannej szarudze widok siedmiu odmienionych twarzy, a później kikut stengi z białą kulą, który siekł wodę na dwie strony, osuwał się niżej i niżej, aż zszedł na dno. Odtąd z głosem kapitana stało się coś dziwnego. Chociaż pozostał spokojny, szumiała w nim nuta żałoby, która nie była ani uroczysta, ani łzawa.

- Steruj trochę bardziej na południe, Billie.

- Jest, trochę bardziej na południe, kapitanie - odparł mechanik na rufie.

Siedzenie w tej łodzi przypominało jazdę na rozbrykanym dzikim koniu, a trzeba dodać, że dziki koń jest niewiele od niej mniejszy. Stateczek szedł w podskokach, stawał dęba i pomykał niby zwierzę. Kiedy za nadejściem fali unosił się przed nią, wyglądał jak wierzchowiec, który gotuje się do przesadzenia oburzająco wysokiej przeszkody. Sposób, w jaki gramolił się na ściany wody, jest sprawą tajemną, ponadto zaś u ich szczytów kryły się problemy białej wody - piana pędząca z wierzchołka każdej fali, którą trzeba było przesadzić, i skok z góry. A łupnąwszy pogardliwie w wodną grzywę łódź ześlizgiwała się i rozpryskując wodę mknęła długim stokiem na dół, póki rozchwiana i rozdygotana nie stanęła przed nowym niebezpieczeństwem.

Szczególnie niedogodne jest to, iż po szczęśliwym wspięciu się na jedną falę, zaraz natykamy się na drugą, nie mniej ważną i równie zniecierpliwioną, że jeszcze pływamy. W warunkach przeciętnych - do których nie należy przebywanie na otwartym morzu w dziesięciostopowej szalupie - nie można wyrobić sobie pojęcia o tym, jak zasobne w fale jest morze. Kiedy nadciągała szara ściana wody, przysłaniała ludziom w łódce wszystko inne, łatwo więc było uwierzyć, że właśnie ona stanowi ostateczny wybuch, oceanu, że jest ostatnim wysiłkiem zawziętych wód. W ruchu fal był pełen grozy wdzięk, a nadpływały w ciszy, jeśli pominąć warkot ich grzebieni.

Twarze ludzi w bladym świetle musiały być

szare. Oczy ich musiały dziwnie połyskiwać, gdy wpatrywali się niezmiennie poza rufę. Wszystko wyglądałoby dziwnie malowniczo, jeśliby patrzeć z balkonu. Ale ludzie w łódce nie mieli czasu tego zauważyć, gdyby zaś mieli wolną chwilę, co innego by ich zaprzętało. Słońce statecznie pięło się po niebie, oni zaś wiedzieli, że już dzień w całej pełni, bo kolor morza przeszedł z barwy łupku w szmaragdową zieleń ze smugami bursztynowego poblasku i piana wyglądała jak śnieżna lawina. Nie widzieli, jak powstawał dzień. Zdawali sobie tylko sprawę, jak się to odbija na zabarwieniu fal, które się ku nim toczyły.

Kucharz i korespondent spierali się w nie powiązanych zdaniach o różnicę między stacją ratowniczą a schroniskiem. Kucharz powiedział:

- Tuż na północ od latarni Przylądka Mosquito jest schronisko i jak tylko nas zobaczą, zaraz wypłyną.

- Jak kto nas zobaczy? - spytał korespondent.

- Załoga - odparł kucharz.

- W schroniskach nie ma załóg - rzekł korespondent. - Ja przez schronisko rozumiem takie miejsce, gdzie przechowuje się ubranie i wałówkę dla rozbitków. Ale załóg w nich nie ma.

- A właśnie że są - powiedział kucharz.

- Nie, nie ma - powiedział korespondent.

- Jak by nie było, jeszcze tam nie jesteśmy - rzekł mechanik na rufie.

- No - powiedział kucharz - więc bardzo możliwe, że to, co mam na myśli, nie jest schroniskiem.; może to stacja ratownicza.

- Jeszcze tam nie jesteśmy - rzekł mechanik na rufie.

II

Kiedy łódź zeskakiwała z fal, wiatr targał ludziom włosy, a gdy unosiła się znów dziobem w górę, omiatał ich pyłem wodnym. Szczyt każdej fali był wzgórzem, z którego chwilę oglądali szeroki przestwór, wzburzony, lśniący, smagany wichurą. Był to prawdopodobnie widok znakomity, prawdopodobnie wspaniałe były te igraszki nieskrępowanego morza, rozszalałego blaskami szmaragdu, bieli i bursztynu.

- Byczo, że duje do brzegu - rzekł kucharz. - Bo dokąd by nas zaniósło? Nie byłoby z nami wesoło.

- To racja - powiedział korespondent. Zajęty mechanik kiwnął tylko głową.

A wtedy kapitan leżący w dziobie zaśmiał się w sposób, który wyrażał zarazem rozweselenie, pogardę i tragizm. - Sądzicie, chłopcy, że teraz bardzo z nami wesoło? - spytał.

Na to umilkli trzej pozostali, z lekka pochrzając i pomrukując niepewnie. Czuli, że wyrażenie szczególnego optymizmu zabrzmiałoby dziecinnie i głupio, ale wszyscy niewątpliwie tak

właśnie odczuwali sytuację. W podobnych razach młody zawsze bywa uparty. A z drugiej strony każda jawna myśl o beznadziejności była wykroczeniem przeciw etyce ich położenia. Toteż milczeli.

- Nie, nie - rzekł kapitan pocieszając swoją dziatwę - wydostaniemy się na brzeg jak nic.

Ale w jego tonie było coś, co ich zastanowiło; więc mechanik powiedział: - Tak! Jeżeli wiatr się utrzyma.

Kucharz wybierał wodę. - Tak! Jeżeli diabli nas nie wezmą w przybrzeżnej kipieli.

Mewy latały. Czasem siadały na wodzie obok brązowych pasm wodorostów, które pełzały po powierzchni fal ruchem dywanów wiszących na sznurze podczas wiatru. Ptaki siedziały wygodnie stadami i niektórzy w łódce zazdrościli im, gdyż tyle sobie robiły z gniewu morza, co łąg dzikich cietrzewi tysiąc mil w głębi ładu. Często podlatywały bardzo blisko, patrząc na ludzi oczyma jak paciorki. Były w takich chwilach tajemnicze i surowe w swym bezczelnym dociekaniu, a ludzie pohukiwali chcąc odegnać ptaki. Jeden najwidoczniej postanowił usadowić się na czubku głowy kapitana. Leciał równo z łodzią i nie krążył nad nią, tylko szybował ukośnymi, krótkimi ślizgami. Utkwił czarne pożądliwe oczka w głowie kapitana. - Łajdaku! - rzucił mechanik. - Wyglądasz, jak by cię scyzorykiem wystrugali. - Kucharz i korespondent kleli stworzenie ponuro. Kapitan chciał

je odegnać końcem ciężkiej cumki, ale nie śmiał, bo każdy energiczny gest mógł przewrócić przeciążoną łódkę; opędzał się więc od mewy machając łagodnie i z ostrożną dłońią. Gdy zniechęcono mewę do dalszej gonitwy, wszyscy odetchnęli lżej - kapitan, bo spokojny już o swoje włosy, a inni, bo ptak ten wydał im się jakiś wstrętny i złowrózby.

Mechanik tymczasem wiosłował. I korespondent wiosłował. I wiosłowali

razem. Siedzieli obok siebie na ławeczce i wiosłowali jednym wiosłem. Później mechanik brał za oba; potem za oba wiosła brał korespondent; i znowu mechanik; i znów korespondent. Wiosłowali i wiosłowali. Najryzykowniejsza chwila nadchodziła wówczas, kiedy trzeba było, aby odpoczywający w rufie zmienił pracującego przy wiosłach. Na najwyższą gwiazdę prawdy! Łatwiej wykradać jaja spod kury, jak zmienić się miejscami w owej łódce! Więc najpierw człowiek w rufie przesunął dłoń wzdłuż burty, a poruszał się ostrożnie, jak by był zrobiony z sewrskiej porcelany. Potem wzdłuż przeciwnej burty robił to samo człowiek u wiosła. A wszystko z niebywałą ostrożnością. Kiedy ci dwaj przechodzili obok siebie, pozostali nie spuszczała oka z fali, która nadpływała, a kapitan nawoływał: - Uwaga! Spokojnie tam!

Brązowe maty wodorostów, które ukazywały się raz po raz, były jak wyspy, skrawki ziemi. Na oko nie płynęły ani w jedną, ani w drugą strony. Biorąc rzecz praktycznie, stały w miejscu. Infor

mowały ludzi, że ich łódź powoli posuwała się do brzegu.

Kapitan uniósłszy się ostrożnie w dziobie, kiedy łódka wzbijała się na wielkim wale wody, obwieścił, że zobaczył latarnię Przyładka Mosquito. Niebawem i kucharz rzekł, że ją widzi. Korespondent wówczas pracował u wiosła, lecz i on też zechciał czemuś spojrzeć na latarnię. Siedział jednakże tyłem do niej, a fale były zbyt poważne, aby móc odwrócić od nich głowę. Ale w końcu nadciągnęła jedna z łagodniejszych fal i gdy znaleźli się u szczytu, szybko przeszukał zachodni horyzont.

- Widziałeś? - spytał kapitan.

- Nie - wolno odpowiedział korespondent -? nic nie widziałem.

- Popatrz jeszcze raz - rzekł kapitan. Pokazał ręką. - Dokładnie w tym kierunku.

Na szczycie innej fali korespondent zrobił, jak mu kazano, i tym razem oczy jego napotkały mały nieruchomy punkt na skraju rozkołysanego horyzontu. Miał on dokładnie rozmiary ostrza igielnego. Trzeba nie lada skwapliwego oka, żeby wysledzić taką małą latarnię.

- Dobrniemy tam, kapitanie?

- Jak wiatr się utrzyma, a łódź nie nabierze wody, nic nam innego nie zostało - odpowiedział kapitan.

Mała łódka, którą każda piętrząca się fala wznosiła do góry, a grzywacze obryzgiwały złośliwie, postępowała naprzód, co, gdy nie było blisko wo

dorostów, pozostawało niewidoczne. Wydawała się łupinką, jakimś cudem tarzającą się po wodzie wciąż do góry wierzchem, zdaną na łaskę pięciu oceanów. Raz po raz wielka płachta wody jak białe płomienie wdzierała się do wewnątrz.

- Kucharz, wybierz wodę - mówił kapitan spokojnie.

- Tak jest, kapitanie - pogodnie odpowiadał kucharz.

III

Trudno byłoby opisać ów subtelny kształt braterstwa, które się tu, na falach, ugruntowało. Nikt o nim nie mówił. Nikt o nim nie wspominał. Ale mieszkało w łodzi i każdy grzał się w jego cieple. Kapitan, kucharz, mechanik i korespondent byli przyjaciółmi - przyjaciółmi, których jednoczyły dziwniej nierozzerwalne okowy, niż się to na ogół zdarza. Ranny kapitan leżący w dziobie łodzi, obok dzbana z wodą, mówił zawsze głosem cichym i spokojnie; nigdy jednak nie mógłby dowodzić bardziej ochoczą i szybką załogą jak ta zbieranina w łódce. To było więcej niż zwykłe zrozumienie tego, co najlepiej służy zbiorowemu bezpieczeństwu. Na pewno była w tym jakaś cecha osobista i serdeczna. A za oddaniem dla dowodzącego łodzią szło owo koleżeństwo, które na przykład korespondent, nauczony cynicznego stosunku do ludzi, uznał już wówczas za to najlepsze, czego w ży

ciu doświadczył. Ale nikt o tym nie mówił. Nikt o tym nie wspominał.

- Żeby tak mieć żagiel - zauważył kapitan. - Moglibyśmy zawiesić mój płaszcz na końcu wiosła, to byście wy dwaj, chłopcy, mieli okazję odpocząć. - Więc korespondent i kucharz trzymali wiosła i szeroko rozciągali płaszcz, mechanik sterował i łódka szparko szła pod nowym takielunkiem. Czasem mechanik musiał ostro robić wiosłem, by nie pozwolić morzu wedrzeć się do łodzi, ale na ogół żeglowanie się powiodło.

Latarnia morska powoli rosła. Nabrała już nieomal barwy i wyglądała jak maleńki, szary cień na niebie. Człowiek u wiosł nie mógł się oprzeć, by nie odwracać głowy chcąc bodaj zerknąć na ten maleńki szary cień.

Wreszcie ludzie w łodzi mogli oglądać ląd ze szczytu każdej fali. Jak latarnia morska była pionowym cieniem na tle nieba, tak ląd wydawał się jedynie długim czarnym cieniem na tle morza. Na pewno był cieńszy niż papier.

- Musimy być gdzieś mniej więcej naprzeciwko Nowej Smyrny - rzekł kucharz, który często opływał te brzegi na szkunerach. - Kapitanie, zdaje się, że będzie już z rok, jak porzucono tamtą stację ratowniczą.

- Tak? - spytał kapitan.

Wiatr z wolna zamierał. Kucharz i korespondent musieli się teraz dobrze namozolić, żeby utrzymać wiosło jak najwyżej. Fale jednakże zaczęły

znów łomotać w łódkę z dawną siłą I stateczek wytraciwszy szybkość gramolił się na nie boleśnie. Mechanik i korespondent wzięli się znów do wiosł

Rozbicia statków zdarzają się nie w porę. Gdybyż to ludzie mogli się do nich przygotować, gdyby mogli sprawić, by następowały, kiedy załoga jest w świetnej kondycji, mniej byłoby zatonięć w morzu. Przez dwa dni i dwie noce przed załadowaniem się do łodzi żaden z czwórki nie spał nawet tyle, aby warto było o tym wspominać, a w podnieceniu wspinaczką po pokładzie tonącego statku zapomnieli także najeść się do syta.

Z tych, a także z innych przyczyn ani mechanik, ani korespondent nie wiosłowali z przyjemnością. Ten ostatni dziwił się szczerze, w imię zdrowego rozsądku, jak mogą jeszcze istnieć ludzie, którzy uważają wiosłowanie za rozrywkę. To nie rozrywka; to szatański dopust i nawet ktoś pozbawiony rozumu nie mógłby przypuścić, że jest ono czym innym, jak zgrozą dla mięśni i zbrodnią wobec grzbietu. Obwieścił całej łodzi, co myśli o rozkoszach wiosłowania, i mechanik o znużonej twarzy uśmiechnął się pełen współczucia. Nawiasem mówiąc, przed zatonięciem statku mechanik pracował bez przerwy dwie wachty w maszynowni.

- Dajcie już spokój, chłopaki - powiedział kapitan. - Nie wysilajcie się. Jeżeli

mamy przebyć pas kipieli, musicie zaoszczędzić wszystkie

siły, bo na pewno trzeba będzie płynąć wplaw. Nie spieszcie się.

Powoli łąd podnosił się z morza. Z czarnej linii przeszedł w linię czerni i linię bieli - drzew; i piasku. Wreszcie kapitan powiedział, że dostrzega dom na brzegu. - To na pewno schronisko - rzekł kucharz. - Zaraz nas zobaczą i wypłyną.

Latarnia w dali rosła coraz wyżej. - Strażnik powinien już nas widzieć, jeżeli patrzy przez lornetkę - powiedział kapitan. - Da znać ratownikom.

- Żadna z pozostałych łodzi jeszcze nie dobiła - cicho odezwał się mechanik - bo inaczej już by nas szukali szalupą ratowniczą.

Powoli a pięknie łąd wyłaniał się z morza. Znow zerwał się wiatr. Zmienił kierunek i wiał teraz na południowy wschód. Na koniec nowy dźwięk uderzył uszy ludzi w łódce. Był to odległy grzmot przybrzeżnej kipieli. - Teraz nie damy rady dobrać do latarni - powiedział kapitan. - Trzymaj troszkę bardziej na północ, Billie.

- Jest, bardziej na północ, kapitanie - odparł mechanik.

Po czym łódeczka raz jeszcze zawróciła z wiatrem, i wszyscy prócz wiosłarza przypatrywali się brzegowi, który rósł w oczach. Na ten widok zwątpienie i okropny strach opuszczały dusze ludzi. Panowanie nad łodzią nadal pochłaniało najwięcej uwagi, nie mogło jednak powstrzymać spo

kojnej otuchy. Za godzinę może będą już na brzegu.

Ich grzbiety całkiem nawykły do balansowania w łodzi i płynęli teraz jak cyrkowcy, którzy ujeżdżają dzikie zrebie. Korespondent sądził, że nie pozostała na nim sucha nitka, ale przypadkowo namacawszy górną kieszeń surduta znalazł osiem cygar. Cztery z nich przesiąkły słoną wodą; cztery były w doskonałym stanie. Poszukawszy, ktoś wydobył trzy suche zapalki, po czym rozbitkowie płynęli sobie junacko swą łupinką i ze świecą w oczach pewnością niedalekiego ocalenia dmuchali dymem wielkich cygar i rozważali ludzkie dole i niedole. Każdy pociągnął łyk wody.

IV

- Kucharzu - zauważył kapitan - nie wygląda na to, żeby istniały jakieś ślady

życia koło twojego schroniska.

- Nie - odrzekł kucharz. - Śmieszne, że nas nie widzą!

Przed ich oczyma leżał szeroki pas wybrzeża. Były to niskie wydmy porośnięte w górze ciemną roślinnością. Ryk przybrzeżnej kipieli dochodził wyraźnie i czasem mogli dojrzeć białą wargę fali, jak wsuwała się na piasek. Małeńki domek czerniał prostokątnie na tle nieba. Z południa widać było smukły czarny kształt latarni morskiej.

Przyptyw, wiatr i fale gnały łódkę kil pól nocy. - Śmieszne, że nas nie widzą - mówili rozbitkowie.

Ryk kipieli był tu przygłuszony, lecz jego ton brzmiał niemniej złowrogo i potężnie. Gdy łódź przesadzała olbrzymie grzywacze, ludzie siedzieli i słuchali ryku. - Ani chybi nabierzemy wody - mówili wszyscy.

Trzeba oddać sprawiedliwość, że na przestrzeni dwudziestu mil w obu kierunkach nie było stacji ratowniczej, ci ludzie jednak nie wiedzieli o tym, toteż czynili ponure, sromotne uwagi o spostrzegawczości ratowników tego kraju. Czterej nasępieni ludzie siedzieli w łódce i bili rekordy w wymyślaniu wyzwisk.

- Śmieszne, że nas nie widzą.

Beztraska minionej chwili wygasła całkowicie. Ich wyostrzonym umysłem łatwo było wywoływać obrazy wszelkich odmian niekompetencji i ślepoty, a nawet - tchórzostwa. Oto, brzeg ludnego kraju i coraz trudniej znieść, że nie nadchodzi z niego żaden znak.

- No - powiedział wreszcie kapitan - myślę, że musimy popробować sami. Jeśli będziemy zbyt długo zwlekali, żadnemu z nas nie pozostanie dość siły do pływania, kiedy łódź zatonie.

Zatem mechanik, który był przy wiosłach, skierował łódkę wprost na brzeg. Oto nagle mięśnie się napięły. Powstały myśli.

- Jeśli nie wszyscy wyjdziemy na brzeg... - powiedział kapitan - jeśli nie wszyscy wyjdzie

my na brzeg, to myślę, chłopcy, że wiecie, komu donieść o mojej śmierci.

Potem wymieniali krótko jakieś adresy i upomnienia. A co do myśli owych ludzi, było w nich sporo wściekłości. Być może dałyby się one sformułować tak: „Jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć, po cóż, w imię siedmiu zwariowanych bóstw, które rządzą morzem, dane mi było dopłynąć aż tutaj i oglądać piach i drzewa? Czy tylko po to mnie tutaj rzucono, aby mi sprzątnąć sprzed nosa święty kołacz życia, gdy już, już miałem go zakosztować? To śmieszne. Jak ta stara durna baba, Dola, nie potrafi zrobić nic lepszego, powinno się ją pozbawić rządów nad losem człowieczym. Stara kwoka, sama nie wie, czego chce. Jeśli postanowiła mnie utopić, czemu nie zrobiła tego na początku i nie oszczędziła mi tych wszystkich trudów? Głupia historia... Lecz nie; to niemożliwe, żeby chciała mnie utopić. Nie śmie mnie utopić. Nie może mnie utopić. Nie teraz, nie po tych wszystkich trudach”. Potem człowiek mógł w zapędzie potrząsnąć pięścią ku chmurom. „Tylko mnie utop, to usłyszysz, co o tobie myślę!”

Fale, które teraz napływały, były groźniejsze. Wciąż się wydawało, że za chwilę któraś się załamie i pianą przetoczy przez łódź. W ich głosie brzmiał przygotowawczy długi pomruk. Żaden człowiek nie nawykły morza nie byłby przypuścił, że łódź zdoła na czas spłynąć ze stromistych wysokości. Brzeg wciąż był daleko. Mechanik,

wodniak przebiegły, rzucił szybko: - Chłopcy, łódka strzyma jeszcze tylko parę minut, a jesteśmy za daleko, żeby móc dopłynąć. Czy zawrócić znów na morze, kapitanie?

- Tak, syp w morze! - powiedział kapitan.

- Co myślisz o tych ratownikach? Czy nie orły?

- Śmieszne, że nas nie dojrzeli.

- Może myślą, że jesteśmy tutaj dla rozrywki! Może myślą, że łapiemy ryby. A może biorą nas za wariatów.

Było to długie popołudnie. Odpyływ usiłował pchnąć ich na południe, ale sprzeciwił się temu wiatr i fala. Daleko w przodzie, gdzie linia brzegu, morze i niebo utworzyły wielki kąt, widniały małe kropki, które oznaczały jakby miasto na

wybrzeżu.

- Saint Augustine?

Kapitan potrząsnął głową. - Za blisko Zatoki Mosquito.

I mechanik wiosłował. A potem korespondent wiosłował. I znowu mechanik. To było męczące. Grzbiet ludzki może się stać siedliskiem bólów i dolegliwości, które ilością swoją przewyższają cierpienia pułku żołnierzy. Jest to ograniczona przestrzeń, ale może stać się widownią niezliczonych konfliktów mięśni, skręceń, szarpań, zwężeń i innych przyjemności.

- Czyś ty 'kiedy lubił wiosłować, Billie? - spytał korespondent.

- Nie - odparł mechanik - a niech to!

Gdy któryś zmieniał ławeczkę wiosłarza na miejsce na dnie łodzi, ulegał takiej depresji, że już nic go nie obchodziło i nie chciało mu się nawet palcem ruszyć. W łodzi chlupotała zimna morska woda, a on w niej leżał. Jego głowa wsparta o ławeczkę znajdowała się o cal od wirujących grzyw, co niesforniejsze wdzierały się czasem do wewnątrz i oblewały go na nowo. To go jednak nie trapiło. Jest prawie pewne, że gdyby łódź się wywróciła, on stoczyłby się w ocean wygodnie, w przekonaniu, iż to ogromny miękki materac.

- Patrz! Człowiek na brzegu!

- Gdzie?

- O tam! Widzisz, widzisz?

- Tak, tak! Idzie.

- Teraz zatrzymał się. Zobacz! Patrzy na nas!

- Macha do nas!

- Tak, tak! Jak nie wiemco!

- Ach, no to teraz jesteśmy bezpieczni! Teraz jesteśmy bezpieczni! Za pół godziny będzie łódź.

- Idzie dalej. Biegnie. Idzie do tamtego domu. Daleki brzeg zdawał się niżej położony niż samo morze i trzeba było przyjrzeć się pilnie, by dostrzec małą czarną postać. Kapitan dojrzał kij na wodzie, więc podpłynęli, aby go wyłowić. Dziwnym

trafem w łodzi znajdował się ręcznik, więc przywiązawszy go do kija kapitan zaczął nim powiewać. Wioślarz bał się odwrócić głowę, mógł tylko pytać, co się dzieje.

- Co on teraz robi?

- Znowu stoi w miejscu. Zdaje się, że wpa-
truje. Teraz idzie... w kierunku domu... Zatrzymał się.

- Czy macha do nas?

- Nie, teraz nie, ale machał.

- Patrzcie! Idzie drugi!

- On biegnie.

- Patrzajcie, jak zapycha!

- Przecie on na rowerze. Teraz spotkał się z tamtym. Obaj do nas machają.

Spójrzcie!

- Coś jedzie do brzegu.

- Cóż to jest, u diaska?

- Ależ to wygląda na łódź.

- Tak, na pewno to jest łódź. - Nie, to jest na kołach.

- Tak, tak. To musi być szalupa ratownicza. - Nie, Boże, toż to... toż to
omnibus.

- A ja ci mówię, że szalupa.

- Nie! To omnibus. Widzę wyraźnie. Spójrz!" Taki duży omnibus hotelowy.

- Do pioruna, masz rację. To omnibus, jasne jak słońce. Co oni robią z tym
omnibusem, jak myślisz? Może jeżdżą po okolicy, żeby pozbierać załogę, co?

- Właśnie, to bardzo prawdopodobne! Patrzcie. Jeden macha czarną
chorągiewką. Stoi na, stopniach omnibusu. Podchodzą tamci dwaj. Teraz
rozmawiają. Spójrzcie na tego z chorągiewką. Co, może nie macha?

- To nie chorągiewka. To jego surdut. Ależ na pewno surdut.

- Tak, tak. To jest jego surdut. Zdjął go i kręci nim nad głową. Ale spójrzcie
tylko, jak!

- Och, wiecie, tam wcale nie ma stacji ratowniczej. To jest po prostu omnibus

jakiegoś zimowego pensjonatu i przywieziono nim kilku gości, żeby sobie popatrzyli, jak toniemy.

- Czego ten kretyn z surdudem chce? Jakie nam daje znaki?

- Wygląda na to, że chce, byśmy płynęli na północ. Tam pewnie jest stacja ratownicza.

- Nie. On myśli, że łapiemy ryby. A macha tylko tak sobie. Rozumiecie? A niechże go, Billie!

- Chciałbym móc coś wyrozumieć z tych znaków. Jak przypuszczasz, co on ma na myśli?

- On nie ma nic na myśli, on się bawi.

- Niechby nam dał znak, żebyśmy jeszcze raz spróbowali płynąć do brzegu albo odpłynęli w morze i czekali, albo udali się na północ, na południe czy w ogóle do ciężkiej cholery, byłby w tym przynajmniej jakiś sens. Ale popatrzcie! Stoi tylko i kręci surdudem jak kołem. Osioł!

- Idzie więcej ludzi.

- Teraz już jest niezły tłumek! Spójrzcie! Czy to nie łódź?

- Gdzie? Aha, widzę. Nie, to nie jest łódź.

- A tamten ciągle macha.

- On pewnie myśli, że robi nam przyjemność. Dlaczego nie przestanie? To nic nie oznacza.

- Nie wiem. Myślę, że on każe nam płynąć na północ. Tam gdzieś na pewno musi być stacja ratownicza.

- Że też się jeszcze nie zmęczył. Patrzajcie, jak macha!

- Ciekawe, jak długo potrafi? Zaczął kręcić surdudem, jak tylko nas zobaczył. Idiota. Czemu nie każe ludziom wynieść łodzi? Rybacka łódź - jedna z tych wielkich łodzi - mogłaby tutaj śmiało dopłynąć. Czemu on nic nie robi?

- Och, teraz jesteśmy bezpieczni.

- Teraz, jak nas zobaczyli, w jednej chwili przyślą łódź.

Leciutki żółty ton zabarwił niebo ponad niskim lądem. Cienie na morzu z

wolna pogłębiły się. Wiatr niósł za sobą chłód i ludzie w łódce zaczęli drżeć z zimna.

- Niech ich wszyscy diabli, jeżeli mamy się tutaj przed nimi wygłupiać! - rzucił jeden dając wyraz niepobożnemu nastrojowi. - Jeżeli przyjdzie nam się tu przez całą noc gimnastykować!

- O, wcale nie będziemy tutaj całą noc! Już ty się nie martw. Zobaczyli nas i nie minie chwila, a puszczą się za nami w pogoń.

Brzeg mroczniał. Człowiek z surdudem wtapiał się stopniowo w tę ponurość i w ten sam sposób pochłonęła ona omnibus i grupę ludzi. Bryzgi wody, które chlustały zgiełkliwie przez burzę, sprawiały, że podróżnicy otrząsali się i klęli, jakby ich przypiekano ogniem.

- Chciałbym dostać w ręce tego typka, co machał surdudem. Mam ochotę mu przyłoić, ot tak sobie, na szczęście.

- Czemu? Cóż on' ci zrobił?

- Et, nic, ale wyglądał diabelnie wesoło.

Mechanik tymczasem wiosłował, a potem wiosłował korespondent; i znów mechanik wiosłował. Poszarzali i zgięci, jak automaty, raz po razie nurzali ołowiane wiosła. Sylwetka latarni morskiej znikła z południowego horyzontu, lecz oto rozblęśta bledziutka gwiazda, która właśnie wychynęła z morza. Prążkowany szafran na zachodzie ustąpił przed wszystko chłonącą ciemnością, a morze na wschodzie szerniało. Łódź znikł i dawał znać o sobie jedynie niskim i posępnym grzmieniem przybrzeżnej kipieli.

„Jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć, po cóż, w imię siedmiu zwariowanych bogów, którzy rządzą morzem, dane mi było dopłynąć aż tutaj i oglądać piach i drzewa? Czy tylko po to mnie tutaj rzucono, aby mi sprzątnąć sprzed nosa święty kołacz życia, gdy już, już miałem go zakosztować?”

Cierpliwy kapitan leżąc bezwładnie u dzbana wody musiał czasem upomnieć wiosłarza:

- Dziobem do fali! Dziobem do fali!

- Jest, dziobem do fali, kapitanie. - Głosy były zmęczone i ciche.

Był to niewątpliwie spokojny wieczór. Wszyscy prócz wiosłarza leżeli ciężko i bez szmeru na dnie łodzi. A wiosłarz nie dostrzegał nic innego prócz wysokich czarnych fal, przetaczających się w złowieszczej ciszy, wśród której czasem dał się słyszeć stłumiony mruk grzywacza.

Kucharz wsparł głowę o ławeczkę i patrzył tę po w wodę, którą miał pod nosem. Inne go widoki otaczały. W końcu odezwał się.

- Billie - mruknął marząco - jaki placek najwięcej lubisz?

V

- Placek! - zachnęli się mechanik z korespondentem. - Przestań o tym gadać, a niech cię.

- No, bo ja - powiedział kucharz - myślałem właśnie o kanapkach z szynką i...

Długa jest noc na morzu, w odkrytej łodzi. Gdy ciemność ugruntowała się bez reszty, błysk światła, które dźwigało się z morza na południu, zamienił się w samo złoto. Na północnym horyzoncie zjawiło się jeszcze jedno, mały niebieskawy promyk na krawędzi wód. Te dwa światła były wszystkim, co zawierał świat. Poza tym nie istniało nic prócz fal.

Dwu skulonych ludzi leżało w rufie, a wymiary łodzi były tak wspaniałe, że wiosłarz mógł nieco ogrzać stopy wsunawszy je pod towarzyszy. Natomiast ich nogi sięgały daleko pod ławeczkę i dotykały stóp kapitana, który leżał w dziobie. Czasem, mimo wysiłków wyczerpanego wiosłarza, fala, lodowata mocna fala wdzierała się do łodzi i ziębiąca woda przenikała ich na nowo. Chwilę kurczyli się i jęczeli, i znów zasypiali snem umarłych, a woda z gulgotem przetaczała się po dnie przy przechyłach.

Mechanik i korespondent umówili się, że jeden

będzie wiosłował, póki mu sił starczy, a potem zwlecze drugiego z wodnego łoża na dnie łodzi.

Mechanik robił wiosłami, póki głowa nie opadła mu na piersi i póki nie oślepił go wszechwładny sen; wiosłował także i później. Potem trącił towarzysza na dnie

łodzi i wymówił jego imię. - Zmienisz mnie na jedną chwilę? - zapytał potulnie.

- Jasne, Billie - odrzekł korespondent budząc się i podnosząc z wysiłkiem. Ostrożnie zmienili miejsce i mechanik skuliwszy się w wodzie u boku kucharza natychmiast zasnął. Morze było teraz mniej gwałtowne. Fale nadciągały bez warkotu. Do obowiązku wiosłarza należało utrzymać taki kurs, aby uderzenie zwałów wody nie wywróciło łodzi, żeby ich grzebień nie zalały jej. Czarne fale przeciągały cicho i trudno było dojrzeć je w ciemności. Częstokroć wiosłarz dostrzegał falę, gdy już, już miała zwalić się do łodzi.

Korespondent zagadnął cicho kapitana. Nie był pewien, czy kapitan nie śpi, choć wydawało się, że ten żelazny człowiek zawsze czuwał. - Kapitanie, czy mam trzymać kurs na tamto światło na północy?

Odpowiedział mu opanowany głos: - Tak. Trzymaj się mniej więcej o dwa stopnie na prawo od niego.

Kucharz przewiązał się pasem ratunkowym, aby uzyskać choć tę odrobinę ciepła, jaką mógł mu dać ten niezgrabny przyrząd z korka, toteż wy

dawał się jak piec, gdy wiosłarz, któremu zęby szczękały dziko, kiedy kończył swoją pracę, osuwał się na dno łodzi, żeby pospać.

Wiosłując korespondent patrzył na tych dwóch u jego stóp. Kucharz ramieniem obejmował plecy mechanika i w niekompletnym odzieniu, z wynędzniałymi twarzami byli jak morskie ludki - morskie ludki w dybach morza.

Później musiał otepieć w swojej pracy, bo nagle zawarczała groźna woda, a grzywa fali z rykiem i chlupotem wtargnęła do łódki. Cud, że pas korkowy nie uniósł kucharza. Kucharz się nie zbudził, ale mechanik usiadł mrugając powiekami i trzęsąc się z zimna.

- Och, przepraszam, Billie - rzekł korespondent ze skruchą.

- Nie szkodzi, stary - odparł mechanik. Położył się znowu i zasnął.

Później zdawało się, że nawet kapitan zadrzemał, i korespondent pomyślał, że jest sam jeden na wodach wszystkich oceanów. Głos wiatru jwięjącego ponad wierzchołkami fal był żałośniejszy od śmierci.

Od strony rufy rozległ się długi, głośny świst i na czarnej wodzie odciął się bruzdą połyskujący ślad fosforescencji niby błękitny płomień. Jak od cięcia potwornego noża.

Potem nastąpiła cisza, a korespondent dyszał rozdziawionymi ustami i patrzył w morze.

Nagle nowy świst i nowy długi błysk błękitnawego światła, ale tym razem wzdłuż łodzi. Można

go było niemal sięgnąć wiosłem. Korespondent ujrzał ogromną płetwę mknącą jak cień po wodzie, wzbijającą krystaliczny pył, pozostawiającą długi, jarzący się ślad za sobą.

Spojrzał przez ramię na kapitana. Ale kapitan miał twarz zakrytą i zdawało się, że śpi. Popatrzył na morskie ludki. Ci na pewno spali. Więc, pozbawiony współczucia, pochylił się troszkę na bok i zaklął cicho w morze.

Bestia jednakże nie opuściła sąsiedztwa łodzi. Przed dziobem czy poza rufą, z jednej czy drugiej strony, w krótkich lub długich odstępach przemykała iskrząca się pręga i rozbrzmiewał furkot ciemnej płetwy. Szybkość i potęga tej bestii była nad wszelkie podziwy. Cięła wodę niczym gigantyczny ostry pocisk.

Obecność czyhającej bestii nie podziałała na korespondenta tak, jak by podziałała na wycieczkowicza. Patrzył po prostu tępo w morze i klął pod nosem.

Niemniej prawdą jest, że nie chciał być z nią sam na sam. Pragnął, aby któryś z towarzyszy obudził się przypadkiem i dotrzymywał mu towarzystwa. Kapitan jednak leżał bez ruchu u dzbana z wodą, a mechanik i kucharz na dnie łodzi byli pogrążeni we śnie.

VI

„Jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć... jeżeli mam utonąć, po cóż, w imię siedmiu zwariowa

nych bogów, którzy rządzą morzem, dane mi było dopłynąć aż tutaj i oglądać piach i drzewa?”

W ową straszną noc każdy istotnie by pomyślał, że tych siedmiu

zwariowanych bogów chciało go utopić mimo całej obrzydliwej niesprawiedliwości. Bo na pewno obrzydliwą niesprawiedliwością było utopić człowieka, który tak ciężko pracował, tak ciężko. Człowiek czuł, że to byłaby wynaturzona zbrodnia. Ludzie tonęli, odkąd morza zaroily się od galer z malowanymi żaglami, a jednak...

Kiedy mu przyjdzie na myśl, że natura nie uważa go za niezbędnego i w jej mniemaniu nic by się światu nie stało, gdyby się go pozbyła, to w pierwszej chwili jest gotów ciskać cegły w jej świątynię i gardzi faktem, że nie ma ani cegieł, ani świątyni. Każdy widzialny przejaw natury zostałby z pewnością zasypany gradem jego szyderstw.

Później, skoro nie istnieje żadna namacalna rzecz, którą można by wyszydzić, ma zapewne ochotę stanąć przed jakąś personifikacją i zacząć się tłumaczyć, ukląkłszy na jedno kolano i wzniosłszy błagalnie dłonie, mówiąc: - Tak, ale ja miłuję siebie.

Wysoka zimna gwiazda w noc zimową jest owym słowem, które mu odpowiada. Toteż poznaje człowiek patos swojej sytuacji.

Ludzie w łódce nie mówili o tych sprawach, ale każdy niewątpliwie zastanawiał się nad nimi,

milcząco we właściwy sobie sposób. Rzadko ich twarze przybierały jakiś wyraz oprócz tego ogólnego - kompletnego wyczerpania. Odzywali się jedynie w sprawach łodzi.

Ton uczuć korespondenta rozbrzmiał strofą, która niespodzianie przyszła mu do głowy. Zapomniał nawet, że ją niegdyś znał, lecz oto nagle wiersz znalazł się w jego myślach.

W Algierze poległ żołnierz bohaterskiej Legii. Nie zaznał umierając kobiecych rąk pieśczoćy, Ale dobry towarzysz klęknął nad poległym I ostatniej za krajem wysłuchał tęsknoty.

Z faktem, że w Algierze konał żołnierz Legii, zaznajomiono korespondenta jeszcze w dzieciństwie, nigdy jednak ten fakt nie był dla niego ważny. Mnóstwo szkolnych kolegów donosiło mu o sytuacji owego żołnierza, lecz wrzawa w sposób

naturalny doprowadziła do tego, że całkiem na tę sprawę zobojętniał. Nigdy nie sądził, że ma coś wspólnego z tym, że w Algierze konał żołnierz Legii, nie było to dlań również powodem do smutku. Znaczyło mniej niż złamanie się ołówka.

Teraz jednakże ujrzał to w dziwny sposób jako człowiek, żywa istota. Nie był to już tylko obraz mąk w sercu poety, który jednocześnie popijał herbatę wygrzewając stopy u kraty kominka; to była rzeczywistość - surowa, żalosna, czysta.

Korespondent po prostu widział tego żołnierza.

Żołnierz leżał na piasku z wyciągniętymi nogami, nieruchomo. Spomiędzy palców lewej dłoni, którą złożył na piersi usiłując powstrzymać uchodzące życie, płynęła krew. W dali, na tle nieba pomalowanego ostatnimi barwami zachodu, stały kwadraty niskich domów miasta. Korespondent robił wiosłami i myślał o wolnych, coraz wolniejszych ruchach warg żołnierza, przejęty aż do głębi zrozumieniem, które nań zstąpiło. Żal mu było żołnierza Legii konającego w Algierze.

Bestia postępująca w oczekiwaniu w ślad za łódką poczuła się snadź znużona zbyt długą zwłoką.. Nie było już słychać plusku rozcinanej wody ani widać długich, fosforyzujących śladów. Światelko na północy wciąż połyskiwało, lecz odległość między nim a łodzią nie zmniejszyła się. Czasem dobiegał uszu wiosłarza łoskot kipieli, więc zwracał stateczek ku morzu i wiosłował silniej. Na południu ktoś widocznie rozpałił ognisko na plaży. Znajdowało się zbyt nisko oraz zbyt daleko, by móc je zobaczyć, ale widać było świecący różowawy odbłask na urwistym brzegu w tyle za nim. Wiatr zaczął dąć silniej i czasami któraś z fal parsknęła jak kot, ukazując jasny, musujący, załamany szczyt.

W dziobie kapitan poruszył się u dzbana z wodą. Usiadł. - Ale długa noc - powiedział do korespondenta. Spojrzał ku brzegowi. - Ci ratownicy wcale się nie śpieszą.

- Czy widział pan rekina, który pływał koło łódki?

- Tak, widziałem. Ładny okaz, nie ma co.

- Wolałbym wiedzieć, że pan nie śpi.

Po pewnym czasie korespondent odezwał się kierując głos na dno łódki: -

Billie! - Zaczęło się gramolenie. - Billie, zmienisz mnie?

- No, jasne - odrzekł mechanik.

Skoro tylko korespondent dotknął ciałem zimnego a wygodnego dna łodzi zalanego wodą i skulił się przy pasie ratunkowym kucharza, natychmiast zapadł w głęboki sen, mimo że zęby grały mu wszystkie popularne arie. Tak mu się dobrze spało, że, zdać by się mogło, przespał ledwie chwilę, gdy zbudził go głos, w którym brzmiało najwyższe wyczerpanie: - Zmienisz mnie?

- No, jasne, Billie.

Światelko na północy znikło w tajemniczy sposób, lecz korespondent wziął kurs, jaki mu podał czuwający kapitan.

Później skierowali łódź jeszcze dalej w morze i kapitan kazał kucharzowi wziąć wiosło i siedząc na rufie utrzymywać łódź dziobem do fal. Miał wołać, jeśliby usłyszał grzmot kipieli, ów plan dał mechanikowi i korespondentowi możliwość wychnienia. - Będą chłopaki mieli okazję nabrać sił - rzekł kapitan. Skulili się i po krótkim szczękaniu zębami i drgawkach zasnęli znowu jak zabici. Żaden nie wiedział, że przekazali kucharzowi towarzystwo nowego rekina, a może tego samego.

Łódka hulająca po falach, chwilami bryzgi wody wydzierały się przez burtę i zlewały ich na nowo,

lecz nie zdołały zakłócić ich spokoju. Gdyby byli mumiami, nie mogliby mniej odczuwać złowróbnego pędu wód i wiatru.

- Chłopaki - odezwał się kucharz niechętnie

- zniosło nas całkiem blisko. Niech lepiej któryś weźmie się do wiosła. -

Korespondent, rozbudzony, usłyszał łoskot walących się grzyw.

Kiedy wiosłowali, kapitan dał mu się napić trochę whisky z wodą i to uśmierzyło jego dreszcze.

- Niech mi kto pokaże choćby fotografię wiosła, kiedy wydostanę się na ląd, już ja mu...

W końcu krótka rozmowa:

- Billie!... Billie, zmienisz mnie?

- No, jasne - odrzekł mechanik.

VII

Gdy korespondent znów otworzył oczy, morze i niebo miały szary odcień brzasku. Później na wodach odmalowało się złoto i karmin. Wreszcie przyszedł ranek w swym splendorze, z niebem czystego błękitu i słońce rozplomieniło się na wierzchołkach fal.

Na dalekich wydmach stało wiele czarnych chat, a nad nimi wspinał się wysoki biały wiatrak. Żaden człowiek, pies, rower nie zjawił się na brzegu. Wyglądało to na opuszczoną wieś.

Podróżni pilnie śledzili wybrzeże. W łodzi zrobiono paradę. - Ponieważ nie nadciąga żadna pomoc - powiedział kapitan - to lepiej spró

bujmy od razu przedostać się przez pas kipieli. Jak zostaniemy tu dłużej, będziemy za słabi, żeby móc się w ogóle wyratować. - Reszta przystała na to w milczeniu. Skierowano łódź do brzegu. Korespondent nie mógł się nadziwić, że też nikt nigdy nie wchodził na wieżę wiatraka, a jeżeli wchodził, to chyba nie patrzył na morze. Wieża była olbrzymem, który odwrócił się tyłem do mrówek obojętny na ich położenie. Przedstawiała do pewnego stopnia surowość natury wśród zmagania jednostki - natury w wietrze i natury w owej wizji ludzi. Nie wydała mu się ona wówczas bezlitosna czy też dobroczynna, zdradziecka czy mądra. Ale była obojętna, zdecydowanie obojętna. Zapewne jest słuszne, że człowiek w takiej sytuacji, pod wrażeniem obojętności wszechświata, widzi jakoby niezliczone błędy swojego żywota, czuje ich zły smak w duszy i chciałby móc się poprawić. Granica między złem a dobrem wydaje mu się wtedy w tej nowej nieświadomości, nieświadomości znad grobu, absurdalnie jasna, toteż rozumuje, że gdyby mu dano okazję, poprawiłby swój język i postępowanie i byłby lepszy i mądrzejszy na jakimś podwieczorku czy przyjęciu.

- Chłopcy - powiedział kapitan - teraz już na pewno łódź nabierze wody. Nic innego nam nie pozostało, podpłyniemy, ile się tylko da, a jak zaczną tonąć,

skoczmy w wodę i do brzegu. Ale spokojnie i nie skakać przed czasem.

Wiosła wziął mechanik. Patrzył przez ramię na brzeg. - Kapitanie - spytał - może lepiej od

wrócić ją dziobem do fal i płynąć rufą naprzód?

- Dobra, Billie - odrzekł kapitan - obróć ją. - Więc mechanik okręcił łódź i z kolei kucharz i korespondent siedzący na rufie patrzyli przez ramię na pusty, obojętny brzeg.

Wielkie zwały wodne wydźwigały łódź wysoko i raz po raz dostrzegali białe płachty wody mknące w górę pochyłości plaży. - Nie dopłyniemy blisko - powiedział kapitan. Gdy tylko któryś zdołał oderwać uwagę od grzywaczy, zwracał wzrok ku brzegowi, oczy zaś miały w tym wypatrywaniu osobliwy wyraz. Obserwując innych korespondent wiedział, że się nie bali, ale pełna treść ich spojrzeń była osłonięta.

A co do niego samego, zanadto był zmęczony, żeby ten fakt gruntownie zgłębić. Spróbował zmusić się do myślenia, ale nad umysłem przeważały mięśnie, a mięśnie orzekły, że im nic po tym. Przyszło mu tylko do głowy, że gdyby się miał utopić, byłby wstyd.

Nie było spiesznych słów, bladeści ani zwykłego podniecenia. Ludzie po prostu patrzyli na brzeg... - Uwaga, pamiętajcie, żeby po skoku odpłynąć daleko od łodzi - powiedział kapitan.

Od strony morza szczyt fali nagle załamał się z grzmiącym łoskotem i długi biały grzywacz spłynął z rykiem do łódki.

- Spokojnie, chłopcy - powiedział kapitan. Milczeli. Odwrócili oczy od brzegu i patrząc na grzywacz czekali. Łódź wśliznęła się na pochyłość, targnęła ku rozwścieczonemu szczytowi, przesko

czyła go i pomknęła w dół po długim stoku. Wpadło trochę wody i kucharz ją wybrał.

Ale następny szczyt również się załamał. Kotłujący się wrzący zwał białej wody porwał łódź i okręcił niemal dookoła. Woda wtargnęła ze wszystkich stron. Korespondent trzymał ręce na burcie i gdy woda podeszła, szybko cofnął palce, jak

gdyby nie chciał ich zamoczyć.

Mała łódeczka, spita tak obficie, zataczała się i wtulała głębiej w morze.

- Kucharz! Wybierz wodę! Wybierz wodę! - krzyknął kapitan.

- Tak jest, kapitanie - odparł kucharz.

- Teraz uwaga, chłopcy, następna nas wykończy - powiedział mechanik. - Pamiętajcie, żeby skoczyć daleko od łódki.

Ruszyła naprzód trzecia fala, ogromna, wściekła, nieubłagana. Pochłonęła łódź i w tej samej chwili ludzie runęli w morze. Na dnie łodzi leżała część pasa korkowego i skacząc korespondent przycisnął ją dłonią do piersi.

Styczniowa woda była lodowata, zaraz pomyślał, że zimniejsza, niż można by się spodziewać u brzegów Florydy. Rzecz ta wydała mu się w ówczesnym zamroczeniu dość ważna, by jej w tej chwili poświęcić uwagę. Chłód wody był smutny; był tragiczny. Fakt ów zmieszał się jakoś i splótł z pojęciem korespondenta o własnym położeniu, że aż zdał się odpowiednim powodem do łez. Wada była zimna.

Kiedy wypłynął na powierzchnię, niewiele do

szło do jego świadomości poza hałaśliwą wodą. Później dostrzegł w wodzie towarzyszy. Wyścig prowadził mechanik. Płynął silnymi i gwałtownymi ruchami. Po lewej ręce korespondent widział wielkie i białe opasane pasem ratunkowym plecy, a z tyłu płynął kapitan uwieszony stępki przewróconej łodzi.

Charakterystyczną cechą brzegu jest niewzruszoność i korespondent nie mógł jej się nadziwić pośród bałaganu morza.

Był również bardzo nęcący, ale korespondent wiedział, że wiodła doń długa droga, toteż płynął niby od niechcenia. Miał pod sobą część pasa ratunkowego i czasami zsuwał się z bulgotem z pochyłości fali jak na saneczkach.

Jednak po pewnym czasie znalazł się w miejscu, gdzie dalsza podróż napotykała trudności. Nie przestawał płynąć, żeby się przekonać, jaki rodzaj prądu go pochwyił, ale już nie posuwał się naprzód. Brzeg leżał przed nim jak część dekoracji scenicznej, a on patrzył na nią i rozpoznawał każdy jej szczegół.

Gdy dużo dalej z lewej przepływał kucharz, kapitan zawołał: - Kucharzu!

Przewróć się na plecy! Przewróć się na plecy i rób wiosłem.

- Tak jest, kapitanie. - Kucharz obrócił się na plecy i machając wiosłem pomknął jak kanoe.

Niebawem po lewej ręce korespondenta znalazła się również i łódź z kapitanem uczeptionym jedną ręką stępki. Gdyby nie dziwaczne podskoki łodzi, kapitan by wyglądał jak ktoś, kto chce

zajrzeć za płot z desek. Korespondent dziwił się, że też on jeszcze może się jej trzymać.

Zbliżali się do brzegu - mechanik, kucharz, kapitan - a za nimi tańczący wesoło na falach dzban na wodę.

Korespondent pozostał w uchwycie nowego wroga - prądu. Brzeg ze swą białą piaszczystą pochyłością i zieleniącym się urwiskiem, na którego szczycie stały spokojne chatki, rozciągał się przed nim jak malowidło. Był wówczas bardzo blisko, ale wywierał na nim takie wrażenie, jak widok z Bretanii lub Algieru na kimś zwiedzającym galerię obrazów.

Myślał: „Czy mam utonąć? Czyż to możliwe? Czyż to możliwe? Czyż to możliwe?” Być może człowiek musi uważać własną śmierć za ostateczne zjawisko natury.

Lecz później widocznie fala wyrwała go z nieubłaganego prądu, bo oto nagle przekonał się, że znów może się posuwać w kierunku brzegu. A jeszcze później uświadomił sobie, że kapitan, uczeptiony jedną ręką stępki, patrzył na niego i wołał po imieniu. - Chodź do łodzi! Chodź do łodzi!

Borykając się, aby dopłynąć do kapitana i łodzi, pomyślał, że gdy się człowiek dostatecznie zmęczy, utonięcie jest nader wygodną rzeczą - zaprzestaniem walki, któremu towarzyszy spora porcja ulgi; i to go ucieszyło, bo dotychczas najwięcej zaprzętała mu umysł groza owej chwilowej agonii. Nie pragnął bólu.

Niebawem ujrzał człowieka pędzącego po brzegu. Biegając rozbierał się niebywale szybko. Surdut, spodnie, koszula, wszystko z niego opadało jak za różdżką czarodziejską.

- Chodź do łodzi! - wołał kapitan.

- Tak jest, kapitanie. - Zobaczył, jak kapitan zsunął się z burty i puścił łódź. I wtedy korespondent dokonał cudu w swej podróży. Wielka fala porwała go i przerzuciła lekko i z ogromnym padem daleko poza łódź. Już wówczas uderzyło go to jako wyczyn gimnastyczny i szczerzy cud morza. Przewrócona łódka w przybrzeżnej kipieli nie jest zabawką dla pływaka.

Korespondent znalazł się w miejscu, gdzie woda sięgała mu ledwie do pasa, lecz nie mógł w tym stanie utrzymać się długo na nogach. Szarpał nim prąd podwodny i powalała każda fala.

Wówczas zobaczył, jak człowiek, który biegł i rozbierał się, i biegł, wpadł w susach do wody.' Wywłókł na brzeg kucharza, brnął do kapitana; lecz kapitan machnął ręką odsyłając go do korespondenta. Ten człowiek był nagi - nagi niczym drzewo w zimie; ale miał krąg świetlisty nad głową i jaśniał jak święty. Szarpnął silnie za rękę, pociągnął z rozmachem i dźwignął korespondenta z wody. Korespondent wyszkolony w grzecznościowych formułkach powiedział: - Dziękuję ci, przyjacielu. - Ale nagle człowiek wrzasnął: - A to co? - Pokazał palcem. Korespondent rzucił: - Biegnij tam!

Na płyciźnie, twarzą w, dół, leżał mechanik

Czołem dotykał piasku, który raz po raz, po każdej fali wynurzał się z wody.

Korespondent nie wiedział dokładnie, co zaszło później. Kiedy wydostał się na bezpieczny ląd, padł uderzając każdą cząstką ciała w piach. Odczuł to jak upadek z dachu, lecz z wdzięcznością przyjął głuchy odgłos uderzenia.

W jednej chwili wybrzeże zaroilo się od ludzi z kocami, odzieniem i flaszkami, od kobiet z kawą, z wszystkimi tymi lekami, które były dla nich święte. Powitanie, jakie ludziom morza zgotowała ziemia, było gorące i szczodre; lecz oto wnoszono powoli na brzeg nieruchomy i ociekający wodą kształt, a dla niego powitaniem lądu mogła być tylko nieszczęsna gościnność grobu.

Gdy przyszła noc, białe fale przechadzały się w świetle księżyca, a wiatr niósł ludziom z brzegu dźwięk głosu szerokiego morza, oni zaś czuli, że teraz już wiedzą,

co oznacza.

DO YELLOW SKY PRZYJEŹDŹA PANNA MŁODA

I

Wielki pulmanowski wagon mknął z takim dostojeństwem, iż rzut oka za okno zdał się tylko dowodzić, że to równiny Teksasu płyną ku wschodowi. Ogromne płachty zielonej trawy, ciemno barwiące się połacie meskitu i kaktusa, grupki drewnianych domków, lasy wiotkich i delikatnych drzew, wszystko mknęło na wschód, mknęło za horyzont, w przepaść.

W San Antonio wsiadła do wagonu para nowożeńców. On miał twarz ogorzałą od długiego przebywania na słońcu i wietrze, a nowy czarny garnitur stanowił bezpośredni powód, dla którego ceglaste dłonie ani przez chwilę nie traciły jak najbardziej świadomego położenia. Od czasu do czasu spoglądał z respektem na swój strój. Siedział oparłszy ręce na kolanach jak ktoś czekający swej kolejki u fryzjera. Nieśmiało i ukradkiem zerkał na innych pasażerów.

Ona nie była ładna, nie była też bardzo młoda. Miała na sobie niebieską kaszmirową suknię ze wstawkami z aksamitu i z mnóstwem stalowych guzików. Bez ustanku wykręcała głowę, by się

przypatrzeć swoim bufiastym rękawom, bardzo sztywnym, prostym i wysokim. Wprawiały ją w zakłopotanie. Najwyraźniej dotychczas zajmowała się garnkami, a i nadal zamierzała się nimi zajmować, jak Pan Bóg przykazał. Na tej pospolitej, niemal bez wyrazu twarzy o łagodnych rysach dziwny był widok rumieńców wywołanych bezceremonialnymi spojrzeniami kilku pasażerów, kiedy weszła do wagonu.

Byli ogromnie szczęśliwi. - Jechałaś już kiedyś wagonem salonowym? - spytał mężczyzna uśmiechając się błogo.

- Nie - odpowiedziała - nigdy. To bardzo przyjemne!

- Wspaniale! A zobaczysz jeszcze, jak pójdziemy na obiad, to dopiero ucztą. Nigdzie tak nie dają jeść. Płaci się dolara.

- Naprawdę? - wykrzyknęła panna młoda. - Aż dolara? To za drogo... dla

nas... co, Jack? Nie za drogo?

- W każdym razie nie dzisiaj - odrzekł mężnie. - Dziś używamy na całego.

Później mówił o pociągach. - Rozumiesz, jest tysiąc mil z jednego końca Teksasu na drugi, a ten pociąg tylko cztery razy się zatrzymuje. - Mówił z dumą posiadacza. Zwrócił jej uwagę na olśniewające wyposażenie wagonu, a jej oczy rozwierały się coraz szerzej i szerzej, kiedy patrzyła na wytłaczany atlas koloru morskiej wody, świecący mosiądz, srebro, szkło, drzewo połyskujące ciemno jak kałuża nafty. W jednym końcu

wagonu podpierał jakąś ściankę posąg z brązu, a w stosownych miejscach na suficie były srebrnooliwkowe freski.

W odczuciu tych dwojga całe otoczenie odzwierciedlało wspaniałość ich zaślubin owego ranka w San Antonio. Było to tło ich nowego stanu; toteż zwłaszcza twarz mężczyzny promieniała uniesieniem, co wyglądało śmiesznie w oczach czarnego konduktora. Owo indywiduum przyglądało im się czasem z dala, rozbawione, z uśmiechem wyższości. Kiedy indziej szydziło z nich czyniąc to tak sprytnie, że dokładnie nie zdawali sobie z tego sprawy. Stosowało zręcznie wszystkie sposoby najbardziej niepokonalnego snobizmu. Gnębiło ich; lecz mało o tym wiedzieli i szybko zapominali, że podróżni chwilami spoglądali na nich ze wzgardliwym rozbawieniem. Historycznie rzecz biorąc w ich sytuacji było coś bezgranicznie śmiesznego.

- Będziemy w Yellow Sky trzecia czterdzieści dwie - rzekł, czule patrząc jej w oczy.

- Ach, tak? - odparła, jakby wcale o tym nie wiedziała. Dziwienie się temu, co mąż mówi, stanowiło wyraz jej żoninej uprzejmości. Wydostała z kieszeni mały srebrny zegarek; a gdy trzymała go przed sobą i wpatrywała się weń z uważną miną, pan młody promieniał.

- Siedemnaście minut po dwunastej - powiedziała spozierając ze wstydliwą i niezgrabną kokieterią. Jakiś pasażer zauważywszy te igraszki zrobił niezmiernie sardoniczny grymas i puścił

sam do siebie oko w jednym z licznych luster. Wreszcie przeszli do wagonu restauracyjnego. Dwa rzędy kelnerów Murzynów w olśniewająco białych uniformach przyglądało się ich wejściu z ciekawością i spokojem ludzi, których uprzedzono. Ci dwoje przypadli w udziale takiemu, który z przyjemnością patronował im w tym posiłku. Odnosił się do nich po ojcowsku. Twarz promieniała mu dobroduszością. Ów patronat, w połączeniu ze zwykłym szacunkiem, był dla nich niedostrzegalny. Mimo to, gdy powrócili do swego wagonu, widać było ulgę w ich twarzach.

Po lewej stronie, daleko w dole purpurowego stoku, snuła się wstążeczka mgły, gdzie płynęła smężna Rio Grandę. Pociąg zbliżał się do niej z ukosa, a punktem stycznym kolei i rzeki było Yellow Sky. W miarę przybliżania się do Yellow, Sky mąż robił się coraz bardziej niespokojny. Jego ceglaste dłonie natarczywiej rzucały się w oczy. Chwilami bywał nawet roztargniony, nieobecny duchem, kiedy panna młoda pochyliwszy się coś doń mówiła.

Prawdę powiedziawszy Jack Potter zaczynał odczuwać, że cień jego postępków ciąży na nim niby ołowiana płyta. Oto on, szeryf miasta Yellow Sky, człowiek znany, lubiany, szanowany z racji swojego zawodu, wybitna osobistość, wybrał się do San Antonio na spotkanie z dziewczyną, którą kochał, i tam też po zwyczajnych w tym wypadku ceremoniach zdołał ją nakłonić, aby go wzięła za męża, nie zasięgnąwszy uprzednio opinii Yellow

Sky co do któregośkolwiek punktu tej transakcji. A teraz wiozł swą pannę młodą przed nieświadomą i nic nie podejrzewającą społeczność.

Rzecz jasna, ludzie w Yellow Sky żenili się, jak sobie chcieli i w zgodzie z powszechnym obyczajem; lecz takie było mniemanie Pottera o własnej powinności względem przyjaciół albo o ich pojmowaniu owej powinności, lub o nie wypowiedzianych formach postępowania, które w tych wypadkach nie mają władzy nad mężczyznami, że sam sobie wydał się wstrętny. Popenił niebywałą zbrodnię. Znalazłszy się wobec tej dziewczyny w San Antonio, pod wpływem ostrego impulsu zdeptał wszystkie kanony towarzyskie. W San Antonio zachowywał się jak ktoś pod osłoną nocy. W tym odległym mieście łatwo mu było sięgnąć po nóż, aby się odciąć

od wszelkich form, wszelkich przyjacielskich powinności. Ale godzina Yellow Sky - godzina światła dnia - nadciągała.

Bardzo dobrze wiedział, że jego ślub jest dla tego miasta wydarzeniem wielkiej wagi. Donioślejszy mógłby być chyba jedynie pożar nowego hotelu. Przyjaciele nie potrafią mu darować. Chwilami zastanawiał się, czy nie byłoby wskazane powiadomić ich telegraficznie, ale opadło go nowe tchórzostwo. Bał się to uczynić. Teraz zaś pociąg niósł go ku scenie zdumienia, śmiechu i wymówek. Spojrzał za okno na linię mgły z wolna sunącą ku pociągowi.

Yellow Sky miało orkiestrę dętą, która mozolnie wygrywała ku uciechu mieszkańców, miasta.

Zaśmiał się nieszczerze na myśl o niej. Gdyby im mogło przyjść do głowy, że on wróci z żoną, ściągnęliby na stację tę orkiestrę i odprowadziliby ich pośród śmiechów i wiwatów aż do jego murowańca.

Postanowił, że użyje wszelkich sposobów, aby przejść jak najszybciej od stacji do domu. Skoro już się znajdzie w tej bezpiecznej twierdzy, będzie mógł wydać coś w rodzaju ustnego biuletynu, następnie zaś nie wysadzać nosa z domu, póki nie ochłona nieco w swoim entuzjazmie.

Panna młoda spojrzała nań z niepokojem. - Co cię martwi, Jack? - spytała.

Roześmiał się znowu. - Ja się nie martwię, mała, ja tylko myślę o Yellow Sky.

Zaczerwieniła się, bo zrozumiała.

Poczucie wspólnej winy zaciążyło nad nimi i wywołało jeszcze większą czułość. Patrzyli na siebie lekko rozjarzonymi oczyma. Potter jednakże raz po raz śmiał się nerwowo tym samym śmiechem; a pannie młodej nie schodził z twarzy rumieniec.

Zdrajca uczuć Yellow Sky pilnie wpatrywał się w przemykający krajobraz. - Jesteśmy prawie na miejscu - rzekł.

Niebawem przyszedł konduktor i oznajmił bliskość domu Pottera. Trzymał w ręku szczotkę i wyzbywszy się swej zwodniczej wyższości czyścił nowe ubranie Pottera, ten zaś okręcał się na wszystkie strony. Potter wygrzebał z kieszeni

pieniądz i dał konduktorowi, jak to zaobserwował u innych. Był to trudny moment, pełen napięcia, jakby człowiek pierwszy raz podkuwał konia.

Konduktor wziął ich walizkę i kiedy pociąg zaczął zwalniać, przeszli na przykrytą platformę wagonu. Wkrótce dwa parowozy i długi sznur wagonów wpadły na stację Yellow Sky.

- Muszą tu brać wodę - powiedział Potter ze ściśniętym gardłem i żalobnym tonem, jakby obwieszczał czyjąś śmierć. Nim pociąg się zatrzymał, Potter przebiegł wzrokiem peron i był rad, a zarazem zdumiony widząc, że nie ma na nim nikogo prócz urzędnika stacyjnego, który pospiesznie i jakby niespokojnie szedł ku zbiornikom wody. Gdy pociąg stanął, konduktor zszedł pierwszy i ustawił we właściwej pozycji mały stopień do zejścia.

- Chodź, mała - rzekł Potter ochryplym głosem. Kiedy pomagał jej zejść, zaśmiali się oboje nieszczercze. Wziął od Murzyna walizkę i podał żonie ramię. Przemykając szybko a ukradkiem, dostrzegł strapionym spojrzeniem, że wyładowywano dwa toboły i że urzędnik stacyjny daleko w przedzie, koło wagonu bagażowego, zawrócił i biegł ku nim dając mu znaki. Śmiał się pojękując jednocześnie na widok tego pierwszego wrażenia, jakie wywarło na Yellow Sky jego szczęście małżeńskie. Mocno przycisnął do siebie ramię żony i uciekli. Konduktor stał przy wagonie i chichotał głupio.

II

Kalifornijski ekspres Kolei Południowych miał przybyć do Yellow Sky za dwadzieścia jeden minut. W poczekalni przy barze znajdowało się sześciu mężczyzn. Jeden był komiwojażerem mówiącym dużo i szybko; trzech byli Teksasczykami, i ci nie mówili nic, bo im się w owej chwili nie chciało; a dwaj pozostali, meksykańscy pasterze, z reguły nie rozmawiali w poczekalniach. Pies właściciela baru leżał na deskach chodnika, który krzyżował się przed drzwiami. Złożył łeb na przednie łapy i łypał sennie oczyma na boki, w stałej czujności zwierzęcia, które czasami zbiera kopniaki. Z drugiej strony piaszczystej ulicy zieleniło się parę trawników, które wśród piachów płonących obok w oślepiającym słońcu wyglądały tak ślicznie, że

wprost niewiarygodnie. Przypominały maty z trawy przedstawiające murawę na scenie w teatrze. W chłodniejszej stronie stacji na giętym krześle siedział jakiś mężczyzna bez surduta i palił fajkę. Świeżo skoszony brzeg Rio Grande zataczał krąg w pobliżu miasta i widać było za nim rozległą, barwiącą się śliwkowo równinę porośłą meskitem.

Prócz ruchliwego komiwojażera i jego towarzyszy w poczekalni całe Yellow Sky drzemało. Komiwojażer stał oparty z wdziękiem o kontuar i recytował mnóstwo opowieści z dufnością barda, który napotkał nowych słuchaczy.

- i... właśnie, kiedy stary spadał ze schodów z komodą na plecach, stara wchodziła na górę z dwiema szuflami węgla, no i oczywiście...

Opowiadanie przerwał młody człowiek, który nagle pojawił się w otwartych drzwiach. - Scratchy Wilson się upił i rozrabia na całego.

- Dwaj Meksykańczycy natychmiast odstawili szklanki i ulotnili się przez tylne wyjście poczekalni.

Komiwojażer, wesół a nieświadomy wagi wydarzenia, odrzekł: - Dobra, dobra, przyjacielu. Wejź, napijemy się.

Ale wiadomość wywarła takie wrażenie na wszystkich obecnych, że i komiwojażer musiał się nią przejąć. Wszyscy nagle spoważnieli. - Powiedźcie - spytał zaskoczony - co to znaczy?

- Trzej jego towarzysze uczynili gest zapowiadający potoczyste wyjaśnienia, lecz ubiegł ich młody człowiek stojący we drzwiach.

- To znaczy, przyjacielu - rzekł wchodząc - że przez najbliższe dwie godziny miasto nie będzie wcale uzdrowiskiem.

Właściciel baru podszedł do drzwi, zatrzasnął je i zaryglował; wychyliwszy się przez okno ściągnął drewniane ciężkie okiennice i zaryglował je również. Natychmiast poczekalnię objęła jakaś uroczysta kościelna ponurość. Komiwojażer spoglądał po obecnych.

- Ale powiedźcie - krzyknął - co to wszystko znaczy? Chyba nie myślicie, że

będzie walka, strzelanina?

- Nie wiem, czy będzie walka - odrzekł po

sępnie jeden z mężczyzn - ale będzie strzelanina... i to nie byle jaka.

Młody człowiek, który ich przestrzegł, machnął ręką. - Jak ktoś chce walki, może mieć raz dwa okazje. Każdy ją może mieć, dość wyjść na ulicę.

Komiwojażer dawał się powodować dwojakim uczuciom, raz ciekawości człowieka w nieznanych stronach, a raz obawie o swe osobiste bezpieczeństwo.

- Mówicie, że jak się nazywa? - pytał.

- Scratchy Wilson - odpowiedzieli chórem.

- A czy on kogoś zabije? Co chcecie zrobić? Czy to się często zdarza? Czy on się tak awanturuje mniej więcej raz na tydzień? Potrafi wyłamać te drzwi?

- Nie, nie potrafi wyłamać tych drzwi - odparł właściciel baru. - Próbował trzy razy. Ale jak przyjdzie, lepiej położyć się na ziemi. Na pewno będzie strzelał i jakaś kula może przejść na drugą stronę.

Odtąd komiwojażer nie spuszczał oka z drzwi. Nie nadszedł jeszcze czas, żeby się rozpląszczyć na podłodze, lecz dla ostrożności przesunął się pod ścianę.

- Czy on kogoś zabije? zapytał ponownie. Mężczyźni zaśmiali się cicho i z pogardą.

- Wyszedł strzelać, no, to szuka awantury. Lepiej mu się nie narażać.

- Ale co wy robicie w takich wypadkach? Co robicie?

Ktoś odrzekł: - Ano, on i Jack Potter...

- Ale - przerwali mu inni chórem - Jack Potter jest w San Antonio.

- A kto to? Co on ma z tyra wspólnego?

On jest szeryfem miasta. Wychodzi bić się ze Scratchym, jak ten zaczyna rozrabiać.

- Uch! - rzekł komiwojażer ocierając czoło. - Ładne ma zajęcie.

Głosy przeszły w szept. Komiwojażer chciał nadal zadawać pytania zrodzone z niepokoju i oszołomienia; ledwie jednak otworzył usta, mężczyźni popatrzyli nań zirytowani i gestami przynaglili do milczenia. Spadło na nich milczenie natężonego

wyczekiwania. W głębokich cieniach poczekalni oczy im świeciły, gdy nasłuchiwali odgłosów z ulicy. Jeden z nich skinął na właściciela baru, na co ten poruszając się jak duch dał mu kieliszek i butelkę whisky. Mężczyzna napełnił kieliszek po brzegi i bezszelestnie odstawił butelkę. Przełknął whisky jednym haustem i znów obrócił się ku drzwiom w nieporuszonej ciszy. Komiwojażer widział jak właściciel baru wyjął spod lady winchestera. Później zobaczył, że go przyzywa ruchem ręki, podszedł więc na palcach.

- Niech pan lepiej przyjdzie tu do mnie za bar.

- Nie, dziękuję - odrzekł komiwojażer pocąc się. - Wolę być tam, skąd można skoczyć do tych drzwi w tyle.

Na to mężczyzna przy butelkach uczynił grzeczny, lecz stanowczy gest. Komiwojażer usłuchał

i kiedy siadł na skrzynce, cały ukryty za barem, z widokiem na rozmaite cynkowe i mosiężne przyrządy przypominające pancierz, balsam rozlał się po jego duszy. Właściciel baru rozsiadł się wygodnie na sąsiedniej skrzynce.

- Ten Scratchy Wilson - wyszeptał - to magik, jak weźmie rewolwer do ręki... i to jaki magik. A kiedy wejdzie na ścieżkę wojenną, to my, naturalnie, nie wysadzamy nosa. To chyba już ostatni z dawnej bandy, co się włóczyła przy rzece. Jest się czego bać, jak on się upije. Na trzeźwo całkiem porządny, nie można nic powiedzieć... ot, prosty sobie człowiek... muchy by nie skrzywdził... najprzyjemniejszy w całym mieście. Ale niech sobie popije... ho, ho!

Chwilami nie mówili nic. - Chciałbym, żeby Jack Potter już wrócił z San Antonio - rzekł właściciel baru. - On kiedyś postrzelił Wilsona w nogę... zaraz by skończył z tym wariactwem.

Niebawem usłyszeli z dala odgłos wystrzału, a po nim trzy dzikie okrzyki. Momentalnie opadło napięcie oczekiwania z ludzi w przyciemnionej poczekalni. Zaszurgotały stopy. Spojrzeli na siebie. - Idzie tutaj - mówili.

III

Mężczyzna w kasztanowej flanelowej bluzie - jakie szyją przeważnie Żydówki

w dzielnicy East Side w Nowym Jorku - wyszedł zza rogu na sam

środek głównej ulicy Yellow Sky. W obu rękach trzymał długie, ciężkie, granatowoczarne rewolwery. Coraz to wykrzykiwał, a te wrzaski niosły się echem w na pozór opuszczonym mieście i rozbrzmiewały nad dachami z taką mocą, że trudno było wierzyć, by mogły wydobywać się z ludzkiego gardła. Zupełnie jak by cisza go otaczająca utworzyła nad nim łukowate sklepienie grobowca. Owe okrzyki dzikiego wyzwania odbijały się od murów ciszy. Buty mężczyzny miały czerwone przyszwyy wytłaczane w złote wzorki. Był to ów rodzaj butów, za jakim przepadają mali chłopcy zjeżdżający zimą na saneczkach ze wzgórz w Nowej Anglii.

Twarz mu płonęła pijacką wściekłością. Oczy, bardzo ruchliwe a zarazem bystro wypatrujące zasadzki, śledziły nieruchome drzwi i okna. Szedł ruchem kota skradającego się wśród nocy. Raz po raz obwieszczał rykiem swe pogroźki. Długie rewolwery były w jego dłoni jak zabawki; migotały z szybkością iskry elektrycznej. Małe palce obu rąk poruszały się chwilami tak, jak gdyby grał na jakimś instrumencie. Żyłki widoczne nad miękkim kołnierzem koszuli tężały i wiotczały wraz z przyływami pasji. Jedynym dźwiękiem rozdzierającym ciszę były straszliwe wyzwania. Niewzruszone mury nie odmieniały swego zachowania na widok drobnej istoty posuwającej się środkiem ulicy.

Nikt nie podejmował jego propozycji walki - nikt. Wołał w próżnię. Nie można było się żaba

wić. Ryczał i wściekał się i mierzył tu i ówdzie z rewolwerów.

Leżący przed poczekalnią pies właściciela baru nie docenił grozy mających nastąpić wypadków. Wciąż jeszcze drzemał u drzwi swego pana. Na widok psa mężczyzna zatrzymał się i rozweselony uniósł rewolwer. Ujrawszy mężczyznę pies podniósł się i warcząc odszedł na bok z posępnie opuszczonym łbem. Mężczyzna krzyknął i pies puścił się w galop. Już, już miał wpaść w jakąś uliczkę, gdy nagle rozległ się głośny huk, gwizd i coś uderzyło w ziemię tuż przed psim nosem. Pies zaskomlał, zawrócił przerażony i puścił się na łeb, na szyję w drugą stronę. Znowu huk, gwizd i znów coś wyrznęło w piach tuż przed nim. Przerażony pies zaczął się

ciskać na wszystkie strony jak w klatce. Mężczyzna stał, zaśmiewając się, z bronią u bioder.

Wreszcie skusiły go zamknięte drzwi poczekalni. Podeszedł do nich i łomocąc rewolwerem domagał się whisky.

Gdy drzwi ani drgnęły, podniósł skrawek papieru z chodnika i przygwoździł go do nich nożem. Potem z pogardą odwrócił się tyłem do tego przybytku i przeszedłszy na drugą stronę ulicy okręcił się gibko na pięcie i strzelił w papier. Chybił o pół cala. Zaklął pod nosem i odszedł. Po pewnym czasie rozpoczął kanonadę do okien swego najbliższego przyjaciela. Bawił się tym miastem; miasto było zabawką w jego rękach.

Ale wciąż nikt nie podejmował propozycji

walki. Przyszło mu na myśl nazwisko Jacka Pottera, jego odwiecznego wroga, doszedł więc do wniosku, że byłaby nie lada uciecha, gdyby się udał pod dom Pottera i zmusił go kanonadą do wyjścia i podjęcia walki. Ulegając tej zachciance ruszył z pieśnią wojenną Apaczów na ustach.

Gdy przybył na miejsce, dom Pottera przedstawił mu taki sam cichy fronton jak inne domostwa. Przyjawszy pozycję strategiczną mężczyzna zawrzasnął wyzwanie. Ale ten dom tyle sobie zeń robił, co wielki kamienny bożek. Nie dał ani znaku. Odczekawszy należytą chwilą mężczyzna zaczął wykrzykiwać nowe wyzwania wtrącając w nie przedziwne epitety.

Niebawem nastąpiło widowisko, w którym człowiek miotał się w największej furii na niewzruszoność budynku. Ciskał się nań jak wichur, gdy naciera na chatynkę w prerii na Północy. Odgłosy tych poczynań musiały brzmieć z daleka jak wrzawa bitewna dwustu walczących Meksykańczyków. Chwilami milkł z konieczności, aby zaczerpnąć tchu lub naładować rewolwery.

IV

Potter i jego młoda żona szli nieśmiało, lecz szybko. Czasami śmiali się cicho i wstydliwie. - Już za następnym rogiem - oznajmił Potter. Szli z wysiłkiem, jakby pochyleni pod wiatr;

Właśnie Potter miał wzniesć palec, by wskazać żonie jej nowy dom, gdy oto skręciwszy za róg znaleźli się twarz w twarz z mężczyzną w kasztanowej bluzie, który gorączkowo wpychał naboje do bębna wielkiego rewolweru. W mgnieniu oka mężczyzna upuścił na ziemię rewolwer i jak błyskawica wyszarpnął drugi z pochwy. Wymierzył go w pierś pana młodego.

Było cicho. Potterowi język zamarł w ustach. Instynktownie uwolnił ramię spod ręki kobiety i jednocześnie postawił walizkę. A co do panny młodej, to zżółkła na twarzy jak stare płótno. Była jak niewolnica potwornych rytuałów wpatrzona w zjawiskowego węża.

Mężczyźni spoglądali na siebie z odległości trzech kroków. Ten z rewolwerem uśmiechał się z nowym i spokojnym okrucieństwem.

- Chciał mnie podejść ukradkiem! - powiedział. - Chciał mnie zająć ukradkiem!
- Oczy zrobiły mu się jeszcze bardziej srogie. Gdy Potter wykonał lekki ruch, tamten ze złością pchnął rewolwer naprzód. - Zaczekaj, Jacku Potterze. Jeszcze nie próbuj sięgać po rewolwer. Żebyś ani drgnął, nadszedł czas, żebym się z tobą rozprawił po swojemu, bez żadnych przeszkód. Jeżeli nie chcesz, żebym ci wpakował kulę, to uważaj, co ci powiem.

Potter patrzył na swojego wroga. - Scratchy, ja nie mam przy sobie broni - rzekł. - Słowo daję. - Powoli się opanowywał, uspakajał, a jednocześnie w myślach majaczył mu obraz pulmana:

wyłaczany atlas koloru morskiej wody, świecący mosiądz, srebro, szkło, drzewo połyskujące ciemno jak tafla kałuży nafty - cała ta wspaniałość ich zaślubin, tło ich nowego stanu. - Ty wiesz, że ja się biję, jak przyjdzie co do czego, Scratchy; ale teraz nie mam broni. Będziesz musiał sam strzelać.

Twarz jego wroga posiniała. Podeszedł bliżej i zaczął wymachiwać rewolwerem przed piersią Pottera.

- Będziesz mi gadał, że nie masz przy sobie broni, psi synu! Nie nabierzesz mnie. Jeszcze nikt w Teksasie nie widział ciebie bez broni. On mnie bierze za dziecko! - Oczy mu płonęły, grdyka chodziła jak pompa.

- Ja cię nie biorę za dziecko - odparł Potter. Nie cofnął się ani o cal. - Biorę cię za ciężkiego durnia. Jak mówię: nie mam, to znaczy: nie mam. Chcesz mnie zastrzelić, to strzelaj zaraz; już ci się taka okazja nigdy nie zdarzy.

Tak mocny wywód osłabił wściekłość Wilsona; uspokoił go nieco. - A dlaczego nie masz? - szydził. - Wracasz z niedzielnej szkółki?

- Bo właśnie wracam z żoną z San Antonio. Wieliśmy ślub - rzekł Potter. - A gdyby mi powstało w głowie, że taki typ jak ty będzie grasował po mieście, kiedy będę prowadził żonę do domu, to możesz być spokojny, miałbym broń.

- Ślub! wykrzyknął Scratchy niezupełnie pojmując.

- Tak, ślub. Jestem żonaty - powtórzył Potter wyraźnie.

- Żonaty? - Scratchy widocznie dopiero teraz dostrzegł ślaniającą się kobietę u boku wroga. - Niemożliwe! - Był jak ktoś, komu pozwolono zerknąć w inny świat. Cofnął się o krok i ręka z rewolwerem opadła. - I to jest twoja żona? - spytał.

- Tak, to jest moja żona - odrzekł Potter. Znowu zapanowało milczenie.

- To w takim razie kwita - rzekł wreszcie Wilson.

- Jeżeli mówisz, że kwita, Scratchy, to kwita. Wiesz przecie, że nie ja zaczynałem.

Potter wziął walizkę.

- Ja mówię, że kwita - rzekł Wilson. Patrzył w ziemię. - Żonaty!

Rycerskości go nie uczono; tylko znalazłszy się przed tą obcą dla siebie okolicznością poczuł się prostym dziecięciem czasów, które przeminęły. Podniósł z ziemi drugi rewolwer i umieściwszy oba w pochwach, odszedł. Jego stopy zostawiały lejkowate ślady w kopnym piasku.

BŁĘKITNY HOTEL

I

Pałace Hotel w Fort Romper był pomalowany na kolor jasnoniebieski, barwę nóg pewnego gatunku czapli, zdradzającą je na każdym tle. Toteż Pałace Hotel wyglądał zawsze tak krzykliwie, że oślepiający zimowy krajobraz Nebraski wydawał się przy nim jakiś szary, niepozorny. Hotel stał w odosobnieniu, w prerii, i kiedy

padał śnieg, nie było widać miasta, które zaczynało się o dwieście jardów dalej. Lecz gdy podróżny wysiadał na stacji kolejowej, musiał przejść obok hotelu w drodze do grupy niskich domów krytych gontem, które stanowiły Fort Romper, a było nie do pomyślenia, aby ktokolwiek mógł minąć hotel nie rzuciwszy nań okiem. Patt Scully, właściciel hotelu, dowiódł mistrzostwa strategii dobierając farby. To prawda, że w jasne dni, gdy wielkie transkontynentalne ekspresy - długie rzędy kołyszących się pulmanów - przemykały przez Fort Romper, pasażerowie byli zaskoczeni i panujące na Wschodzie upodobanie do czerwonego brązu i tonów ciemnej zieleni wyrażało się śmiechem zażenowania, litości, odrazy. Lecz dla obywateli te

go miasta w prerii i dla ludzi, którzy normalnie na tej stacji wysiadali, Patt Scully dokonał dzieła nie lada. Nie mieli oni wspólnych upodobań kolorystycznych z tym dostatkiem, świetnością, z tymi wierzeniami, klasami społecznymi i egotyzmami, które co dnia przesuwały się po szynach przez Fort Romper.

Zupełnie jakby uwydatnione w ten sposób rozkosze tak błękitnego hotelu nie dość były kuszące, Pat Scully miał zwyczaj wychodzić co dzień rano i wieczorem na powolne pociągi, które się zatrzymywały w Romper, i brać się do usidlania każdego, kto by się jeszcze wahał stojąc z torbą podróżną w ręku.

Pewnego ranka, gdy oblepiony śniegiem parowóz wciągnął na stację długi sznur wagonów towarowych oraz jeden pasażerski, Scully dokonał cudu - przychwycił trzech ludzi. Jeden był trzęsącym się Szwedem o bystrym spojrzeniu i trzymał dużą, lśniącą a tandetną walizkę; drugi - wysokim, spalonym na brąz cowboyem w przejeździe do swego ranczo w pobliżu Dakoty; trzeci - niskim, milkliwym mężczyzną ze Wschodu, na co nie wyglądał i czym się nie chwalił. Scully dosłownie zagarnął ich w niewolę. Zachowywał się tak zręcznie, był tak wesoły i uprzejmy, że każdy z nich zapewne pomyślał, iż próba ucieczki byłaby szczytem brutalności. Powlekli się skrzypiącymi chodnikami z desek w ślad za obrotnym Irlandczykiem. Miał ciężką futrzaną czapę mocno

wciśniętą na głowę i czerwone uszy odstawały mu sztywno, jak z blachy.

W końcu Scully wyszukanie, z hałaśliwą gościnnością wprowadził ich w progi

swego błękitnego hotelu. Pokój, do którego weszli, był mały. Sprawiał wrażenie świątyni olbrzymiego pieca, który ustawiony na środku huczał z boską gwałtownością. W kilku miejscach na jego powierzchni żelazo żarzyło się i świeciło żółto od gorąca. Przy piecu syn Scully'ego, Johnnie, grał w karty ze starym farmerem, który miał piaskowosiwę bokobrody. Często stary zwracał twarz ku skrzynce z trocinami - brązowej od tytoniowego soku - stojącej za piecem i spluwał ze zniecierpliwioną i poirytowaną miną. Głośnym potokiem wymowy Scully przerwał grę i pognął syna na górę z bagażem nowych gości. Sam natomiast poprowadził ich do trzech miednic z najzimniejszą w świecie wodą. Cowboy i człowiek ze Wschodu szorowali się do czerwoności - woda świeciła na nich niby glazura na metalu. Szwed bojaźliwie i ostrożnie zanurzył tylko czubki palców. Podczas tych wszystkich ceremonii trzej podróżni wyraźnie nabrali przekonania, że Scully jest bardzo dla nich życzliwy. Świadczył im wielkie względy. Podawał im po kolei ręczniki jak w odruchu dobroci.

Następnie wrócili do pierwszego pokoju i siedząc koło pieca przysłuchiwali się przymilnym okrzykom Scully'ego w sprawie południowego posiłku. Rozmyślali w milczeniu ludzi doświadczonych, ostrożnie stąpających wśród nowo pozna

nych. Jednakże stary farmer, mocno rozparty na swoim krześle przy najcieplejszej stronie pieca, często odwracał twarz od skrzynki z trocinami i kierował do nich jakąś zdawkową uwagę. Zazwyczaj równie zdawkowo odpowiadał mu cowboy lub człowiek ze Wschodu. Szwed nie mówił nic. Wyglądało, jak by zajmował się ukradkiem ocenianiem wszystkich po kolei. Można by pomyśleć, że żywił głupie, obraźliwe podejrzenia. Robił wrażenie kogoś ogromnie załęknionego.

Później, przy obiedzie, mówił mało zwracając się wyłącznie do Scully'ego. Nie pytany oznajmił, że przybył z Nowego Jorku, gdzie przez dziesięć lat trudnił się krawiectwem. Scully był jak oczarowany tym faktem i ze swej strony, choć go również o to nie pytano, powiedział, że mieszka w Romper od czternastu lat. Szwed zapytał o zbiory i zarobki. Jednakże wydawało się, iż tylko jednym uchem słucha obszernych wyjaśnień Scully'ego. Wzrok jego w dalszym ciągu przenosił się z

twarzy na twarz.

W końcu zaśmiał się, mrugnął okiem i powiedział, że niektóre z tych zachodnich społeczności bywają bardzo niebezpieczne; co rzekłszy wyciągnął nogi pod stołem, pochylił głowę i znów zaśmiał się w głos. Pozostali najwyraźniej nie pochwycili znaczenia tej demonstracji. Patrzyli nań dziwiąc się w milczeniu.

II

Kiedy stąpając ociężale wrócili do frontowego pokoju, dwa małe okienka przedstawiły ich oczom widok wzburzonego morza śniegu. Olbrzymie ramiona wiatru czyniły wysiłki - potężne, koliste a próżne - aby ogarnąć mknące płatki. Słup bramy, jak nieruchomy człowiek o pobladłej twarzy, stał przerażony wśród tej rozpasanej furii. Scully wesoło oznajmił zadymkę. Zapalając fajki goście błękitnego hotelu potwierdzili wieść pomrukiem męskiego rozleniwionego ukontentowania. Żadna wyspa na morzu nie mogłaby być bardziej od świata oderwana jak ten pokój z huczącym piecem. Tonem, w którym brzmiało przeświadczenie o swej własnej umiejętności gry, Johnnie, syn Scully'ego, wyzwał starego farmera o siwopiaskowych bokobrodach do kart. Farmer przystał na grę z pogardliwym i cierpkim uśmieszkiem. Usiedli tuż przy piecu i zgięli kolana pod szeroką deską. Cowboy i człowiek ze Wschodu przypatrywali się grze z ciekawością. Szwed został przy oknie, z dala, lecz z wyrazem twarzy, który przejawiał oznaki niewytłumaczonego podniecenia.

Gra Johnniego z siwobrodym skończyła się nagle nową kłótnią. Stary wstał obrzucając przeciwnika spojrzeniem gorącej pogardy. Powoli zapiął kurtę i z niebywałą godnością dostojnym krokiem wyszedł z pokoju. Wśród dyskretnego milczenia pozostałych rozległ się śmiech Szweda. Brzmiał jakoś dziecinnie. Tym razem mężczyźni spojrzeli na

Szweda pytająco, jakby pragnąc dociec, co mu dolega.

Wesoło utworzono nową partię. Cowboy zaofiarował się na partnera dla Johnniego i wówczas wszyscy zwrócili się do Szweda, aby popróbował szczęścia z człowiekiem ze Wschodu. Ten zadał parę pytań co do gry, a przekonawszy się, że ją

zna, chociaż pod inną nazwą, przyjął zaproszenie. Zbliżył się nerwowo, jak by spodziewał się napaści. Wreszcie, gdy już usiadł, zaczął zaglądać im w twarze i śmiać się nieprzyjemnie. Śmiech ten był tak dziwny, że człowiek ze Wschodu uniósł szybko głowę, cowboy spojrzał nań uważnie i rozdziawił usta, a Johnnie zastygł z kartami w znieruchomiłych palcach.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Potem Johnnie powiedział: - No, jazda! Do roboty! - Zsunęli krzesła tak blisko, że kolana ich stykały się pod deską. Zaczęli grać, a w zaciekawieniu grą zapomnieli o zachowaniu Szweda.

Cowboy był rębaczem. Gdy miał starsze karty, rznął nimi w zaimprovizowany stół z niezwykłą mocą i zbierał lewy z miną, z której promieniowała waleczność i duma, co w sercach przeciwników wzbudzało dreszcze oburzenia. Gra z takim rębaczem musi być napięta. Szwed i człowiek ze Wschodu mieli żałosne miny, gdy cowboy grzmocił asami i królami, a tymczasem Johnnie z oczyma jaśniejącymi radością chichotał i chichotał

Z powodu tej absorbującej gry nikt nie zastanawiał się nad dziwnym zachowaniem Szweda.

Całkowicie pochłaniał ich jej przebieg. Wreszcie, w chwili przerwy wywołanej rozdawaniem kart, Szwed nagle zagadnął Johnniego: - Pewnie już dużo ludzi zabito w tym pokoju? - Pozostali rozdziawili usta i spojrzeli na niego.

- Panie, co pan wygaduje? - spytał Johnnie.

Szwed zaśmiał się znowu swym hałaśliwym śmiechem, pełnym fałszywej odwagi i zuchwałości. - O, pan wie, o czym ja mówię - odrzekł.

- Niech mnie gęś kopnie, jeżeli wiem! - zaprotestował Johnnie. Karta zawisła w powietrzu i mężczyźni wpatrywali się w Szweda. Johnnie widocznie poczuł, że jako syn właściciela powinien przeprowadzić bezpośrednie dochodzenie. - Panie, do czego pan pije? - spytał.

Szwed mrugnął do niego. Było to mrugnięcie pełne chytryści. Palce mu drżały na krawędzi stołu. - Panu się zdaje, że ja nic w świecie nie widziałem? Że ja jestem fryc?

- A niech pan będzie, kim pan chce - odrzekł Johnnie - i nic mnie nie obchodzi, gdzie pan był. Muszę tylko powiedzieć, że nikt tutaj nikogo nie zabił.

Wówczas odezwał się cowboy, który cały czas wpatrywał się spokojnie w Szweda: - Panie, co panu dolega?

Widać wydało się Szwedowi, że mu strasznym pogroźono. Zadrżał i pobladł przy kącikach ust. Rzucił błagalne spojrzenie człowiekowi ze Wschodu. Nie zapomniał jednak w tych chwilach swej

miny naciąganej odwagi. - Mówią, że nie wiedzą, o co chodzi - rzekł drwiąco.

Człowiek ze Wschodu odrzekł dopiero po długim, ostrożnym namyśle. - Nie rozumiem pana

- powiedział obojętnie.

Wówczas Szwed uczynił ruch mówiący, że go spotkała zdrada z jedynej strony, z której spodziewał się współczucia, jeśli nie pomocy. - Och, widzę, że jesteście wszyscy przeciw mnie.

Cowboy znajdował się w stanie głębokiego osłupienia. - Panie - zawołał, jednocześnie rzucając gwałtownie talię kart o deskę - panie, do czego pan zmierza, hę?

Szwed podskoczył w górę, jakby uciekał od węża na podłodze. - Ja nie chcę się bić! Ja się nie chcę bić!

Cowboy wyciągnął niedbale nogi i wsadził ręce do kieszeni. Splunął do skrzynki z trocinami. - A kto, u diabła, myślał, że pan chce?

Szwed cofnął się szybko w róg pokoju. Ręce wyciągnął w obronnym geście przed siebie, ale wyraźnie starał się opanować strach. - Panowie

- wyrzekł roztrzęsionym głosem - myślę, że zanim zdołam opuścić ten dom, zostanę zabity! Myślę, że zanim zdołam opuścić ten dom, zostaną zabity! - Miał spojrzenie konającego łabędzia. Za oknami śnieg błękitniał w cieniu zmierzchu. Wiatr targał domem, a coś ruchomego uderzało równomiernie w deski ściany, jakby pukał duch.

Otworzyły się drzwi i wszedł sam Scully. Zatrzy

mał się zdumiony zauważywszy tragiczną pozą Szweda. - Co się tutaj dzieje?
- zapytał.

Szwed odrzekł szybko, skwapliwie: - Oni chcą mnie zabić.

- Zabić! - wykrzyknął Scully. - Zabić! Co pan wygaduje?

Szwed zrobił gest męczennika.

Scully natarł ostro na syna. - Co to ma znaczyć, Johnnie?

Chłopiec spochmurniał. - A bo ja wiem - odparł. - Nic nie rozumiem. - Zaczął zgarniać karty mieszając je gniewnym ruchem. - On mówi, że w tym pokoju zabijano ludzi czy coś takiego. I mówi, że jego też zabijają. Nie mam pojęcia, co mu się stało. Nie dziwiłbym się, gdyby to był wariat.

Wówczas Scully spojrzał pytająco na cowboya, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Zabić? - powiedział znów Scully do Szweda. - Zabić? Chłopie, tyś chyba zwariował.

- O, ja wiem - wybuchnął Szwed. - Ja wiem, co się stanie. Tak, jestem wariat... tak. Oczywiście, tak... jestem wariat. Ale ja wiem jedno... - Na twarz wystąpił mu pot udręki i przerażenia. - Wiem, że nie wyjdę stąd żywy.

Cowboy westchnął głęboko, jak by mu miała pęknąć głowa. - Niech mnie diabli wezmą - wyszeptał do siebie.

Scully obrócił się nagle do syna. - Tyś dokuczał temu człowiekowi!

Głos Johnniego zabrzmiał całym ładunkiem

urazy: - Jak Boga kocham, nic mu nie zrobiłem. Wtrącił się Szwed. - Panowie, nie przeszkadzajcie sobie. Opuszczą ten dom. Pójdę sobie, bo... - dramatycznie rzucił im oskarżające spojrzenie - bo nie chcę, żeby mnie zabito.

Scully wściekł się na syna. - Ty diabelskie nasienie, powiesz, o co chodzi, czy nie? O co chodzi? Gadaj!

- Cholera! - wrzasnął Johnnie w rozpacz. - Powiedziałem przecież, że nie wiem. On... on mówi, że my chcemy go zabić, i więcej nic nie wiem. Nie mam pojęcia, co mu się stało.

Szwed mówił dalej: - Głupstwo, panie Scully, głupstwo. Opuszczę ten dom. Pójdę sobie, bo nie chcę, żeby mnie zabito. Tak, oczywiście, jestem wariat... tak. Ale wiem jedno! Pójdę sobie. Opuszczę ten dom. Głupstwo, panie Scully, głupstwo. Pójdę sobie.

- Nie pójdzie pan - rzekł Scully. - Nie pójdzie pan, póki się nie dowiem, jak to się stało. Jeżeli ktoś panu dokuczył, już ja się nim zajmę. To jest mój dom. Pan jest pod moim dachem i nie pozwolę, żeby tutaj dokuczano spokojnemu człowiekowi. - Rzucił groźnym okiem na Johnniego, cowboya i człowieka ze Wschodu.

- Głupstwo, panie Scully, głupstwo. Pójdę sobie. Nie chcę, żeby mnie zabito. - Szwed postąpił ku drzwiom na schody. Najwidoczniej zamierzał natychmiast udać się po swój bagaż.

- Nie, nie! - krzyknął Scully stanowczo; ale poblady Szwed prześliznął się obok niego i znikł.

- No - rzekł Scully ostro - co to ma znaczyć?

Johnnie i cowboy zawołali jednocześnie: - Myśmy mu nic nie zrobili!

Wzrok Scully'ego był chłodny. - Tak - rzekł - nic nie zrobili.

Johnnie się zaklinał na wszystkie świętości. - To jest łobuz! Myśmy mu nic nie zrobili. Siedzieliśmy tutaj i graliśmy sobie w karty, a on...

Ojciec nagle zwrócił się do człowieka ze Wschodu: - Panie Blanc, co ci chłopcy zrobili? - spytał.

Człowiek ze Wschodu zaczął się zastanawiać.

- Nie zauważyłem nic złego - odparł powoli. Scully zawył: - Ale co to wszystko ma znaczyć? - Wpatrywał się dziko w syna. - Już ja ci za to wyłożę skórę, synalku.

Johnnie się wściekł. - A co ja mu zrobiłem!

- wrzasnął do ojca.

III

- Zdaje się, że was замуrowało - powiedział w końcu Scully do syna, cowboya i człowieka ze Wschodu i wyrzekłszy to pogardliwe zdanie opuścił pokój.

- Na górze Szwed szybko dopinał rzemienie wielkiej walizy. Stał na wpół tyłem odwrócony do drzwi i usłyszawszy szmer okręcił się na pięcie i podskoczył wydając głośny okrzyk. Pomarszczona twarz Scully'ego wyglądała strasznie w świetle lampki, którą niósł. Płynący w górę żółty blask

zabarwiał tylko wystające części jego twarzy i pozostawiał oczy w tajemniczym 'cieniu. Wyglądał jak morderca.

- Człowieku! Człowieku! - wykrzyknął Scully. - Czyś ty oszalał?

- Nie, nie - odwrzasnął Szwed. - Niech pan nie myśli, że na świecie nie ma mądrzejszych od pana... rozumie pan?

Stali przez chwilę wpatrując się w siebie. Na śmiertelnie białych policzkach Szweda były dwie plamy jasnoszkarłatne i ostro zarysowane, jakby je starannie wymalowano. Scully postawił światło na stole i usiadł na brzeжку łóżka. Odezwał się z namysłem: - Niech skonam, pierwsze w życiu coś takiego słyszę. Zupełny mętlik. Jak Boga kocham, skąd panu przyszła taka rzecz do głowy? - I zaraz podniósł wzrok i spytał. - Czy pan myśli naprawdę, że oni chcą pana zabić?

Szwed pilnie wpatrzył się w starego, jakby zapragnął zajrzeć mu w głąb duszy. - Tak - odparł w końcu. Widocznie podejrzewał, że ta odpowiedź mogła przyspieszyć wybuch. Kiedy naciągał rzemień, całe jego ramię trzęsło się, drżało jak skrawek papieru.

Scully łypnął dłonią potężnie w deskę łóżka. - Człowieku, z przyszłą wiosną będziemy mieli w mieście linię tramwajową!

- Linię tramwajową - powtórzył Szwed głupawo.

- I ma być budowana nowa linia kolejowa z Broken Arm - powiedział Scully. - Nie mó

więc już o czterech kościołach i wspaniałej murowanej szkole. Jest także wielka fabryka. Za dwa lata Romper będzie metropolią.

Skończywszy pakowanie Szwed wyprostował się. - Panie Scully - powiedział z nagłą mocą - ile jestem panu winien?

- Nic mi pan nie jest winien - odrzekł stary ze złością.

- Ale tam! - odparł Szwed. Wyjął z kieszeni siedemdziesiąt pięć centów i podsunął Scully'emu. Ten jednak odmawiając strzepnął palcami pogardliwie. Stali obaj jakoś dziwnie i patrzyli na trzy srebrne monety na otwartej dłoni Szweda.

- Nie wezmę od pana pieniędzy - przemówił wreszcie Scully. - Nie wezmę po tym, co tutaj zaszło. - Potem, zdaje się, wpadł mu pewien plan do głowy. - Chodź pan - zawołał biorąc lampę i kierując się ku drzwiom. - Chodź pan na chwilę ze mną.

- Nie pójdę - rzekł Szwed zdjęty przerażeniem.

- No, chodź pan - nastawał stary. - Chcę panu pokazać jedną fotografię... to zaraz za hallem... w moim pokoju.

Szwed musiał wywnioskować, że jego godzina wybiła. Szczeka mu opadła odkrywając zęby jak u nieboszczyka. W końcu udał się za Scully'm przez korytarz, ale szedł jak obwieszony łańcuchami.

Scully skierował blask lampy wysoko na ścianę swojego pokoju. Ukazała się tam śmieszna fo

tografia malutkiej dziewczynki. Dziewczynka stała oparta o balustradę okazałej dekoracji i miała okropną odstającą grzywkę. Osóbka ta posiadała tyleż wdzięku co kłonica, a na dobitkę była koloru ołowiu. - Patrz pan - rzekł Scully z czułością - to jest zdjęcie mojej małej, która umarła. Miała na imię Carrie. Miała najśliczniejsze włosy, jakie w życiu oglądałem. Panie, jak ja ją lubiłem, ona...

Odwracając się zobaczył, że Szwed wcale nie patrzy na fotografię, ale bystro wpatruje się w cień poza sobą.

- Spójrz no, człowieku! - zawołał Scully serdecznie. - To jest zdjęcie mojej małej, która umarła. Miała na imię Carrie. A to jest mój najstarszy, Michael. On jest adwokatem w Lincoln i dobrze mu się powodzi. Dałem temu chłopakowi dobre wykształcenie i teraz się cieszę. Dobry chłopiec. Spójrz pan na niego. Czy nie odważny? Siedzi, panie, w Lincoln, a jak go szanują, jak poważają! Szanują i poważają - zakończył Scully. Mówiąc to klepnął Szweda jowialnie po karku.

Szwed lekko się uśmiechnął.

- No - powiedział stary - jeszcze tylko jedno. - Osunął się nagle na podłogę i

wetknął głowę pod łóżko. Szwed usłyszał jego przytłumiony głos: - Trzymałbym pod poduszką, gdyby nie Johnnie. I gdyby nie stara... Gdzież to jest? Nigdy nie kładę dwa razy w tym samym miejscu. A, jest; No, wyłąź!

Po chwili wycofał się nieporadnie spod łóżka ciągnąc stary płaszcz skrecony w węzeł. - Wyciągnąłem - zamruczał. Klęcząc na podłodze rozwinął płaszcz i ze środka wyjął dużą brązowożółtą butelkę whisky.

Przede wszystkim podniósł butelkę pod światło. Upewniony najwidoczniej, że nikt do niej nie zaglądał, podsunął ją szczodrym ruchem Szwedowi.

Oślabły w kolanach Szwed już, już miał pochwycić skwapliwie ten pierwiastek siły, gdy nagle cofnął rękę i spojrzał z przerażeniem na Scully'ego.

- Pij - powiedział stary czule. Podniósł się już na nogi i stał teraz patrząc na Szweda.

Cisza. Scully odezwał się znowu: - Pij!

Szwed zaśmiał się dziko. Porwał butelkę, przyłożył do ust i kiedy usta zakrzywiły mu się śmiesznie wokół szyjki i gardło zaczęło pracować, nie spuszczał płonącego nienawiścią oka z twarzy starego człowieka.

IV

Po odejściu Scully'ego trzej mężczyźni, siedzący wciąż z deską na kolanach, długo zachowywali głuchą ciszę. Potem Johnnie powiedział: - W życiu nie widziałem takiego durnego Szweda.

- Jaki on tam Szwed - rzekł cowboy z pogardą.

- A kto? - zawołał Johnnie. - Kto?

- Dla mnie - odparł cowboy z namysłem - to on jest Holender. - Starym zwyczajem w tym kraju Szwedami nazywano wszystkich jasnowłosych, mających twardą wymowę. Była to wobec tego dosyć śmiała myśl. - Tak, tak - powtórzył - dla mnie to on jest Holender.

- No, mówi, że jest Szwed - mruknął Johnnie nadąsany. Zwrócił się do człowieka ze Wschodu: - A co pan na to, panie Blanc?

- Nie wiem - odparł człowiek ze Wschodu.

- No, a co pan myśli, dlaczego on się tak zachowuje? - spytał cowboy.

- Ot, jest wystraszony. - Człowiek ze Wschodu wystukał fajkę o krawędź pieca. - Ma wielkiego pietra.

- Przed czym? - wykrzyknęli jednocześnie Johnnie i cowboy.

Człowiek ze Wschodu zadumał się nad odpowie dział.

- Przed czym? - wykrzyknęli pozostali po raz drugi.

- Och, nie wiem, ale zdaje mi się, że on się naczytał dziesięciocentowych powieści i myśli, że znalazł się w samym środku tego wszystkiego: strzelaniny, mordowania i tak dalej.

- Ależ tu nie jest Wyoming - rzekł cowboy, głęboko zgorzony. - Tu jest Nebraska.

- Tak - dodał Johnnie - mógłby z tym poczekać, aż się dostanie na Zachód.

Obyty w świecie człowiek ze Wschodu zaśmiał

się. - Nawet tam nie jest teraz inaczej. Ale jemu się zdaje, że znalazł się w samym środku piekła. Johnnie i cowboy zadumali się.

- Strasznie śmieszne - zauważył wreszcie Johnnie.

- Tak - powiedział cowboy. - Śmieszna zabawa. Mam nadzieję, że śnieg nas nie zasypie, bo musielibyśmy cały czas znosić jego obecność. To nie byłoby przyjemne.

- Chciałbym, żeby go tata wyrzucił - powiedział Johnnie.

Niebawem usłyszeli głośny tupot na schodach, któremu towarzyszyły dowcipy opowiadane dźwięcznym głosem starego Scully'ego i śmiech, najwidoczniej Szweda. Ludzie przy piecu spojrzeli na siebie oniemiała. - Cholera! - zaklął cowboy. Drzwi odskoczyły i do pokoju wszedł stary Scully, zaczerwieniony i rozbawiony. Gadał coś do Szweda, który szedł za nim śmiejąc się zuchwale. Było to wejście dwóch zawadiaków powracających z libacji.

- No - zagadnął Scully ostro trzech siedzących mężczyzn - posuńcie się i dajcie nam się ogrzać przy piecu. - Cowboy i człowiek ze Wschodu posłusznie odsunęli na bok krzesła, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych. Johnnie jednakże ułożył się

tylko w bardziej niedbalej pozycji, a potem znieruchomiał.

- No. posuń się - powiedział Scully.

- Macie dużo miejsca z drugiej strony pieca - odparł Johnnie.

- Myślisz, że nam się chce siedzieć na prze ciągu? - ryknął jego ojciec.

Lecz oto wtrącił się wspaniałomyślnie Szwed. - Nie, nie. Niech sobie chłopiec siedzi, gdzie mu się podoba - krzyknął zbyt silnym głosem.

- Dobrze, dobrze - przystał Scully unieżenie. Cowboy i człowiek ze Wschodu wymienili zdziwionę spojrzenia.

Pięć? krzesel utworzyło półksiężyc z jednej strony pieca. Szwed zaczął coś opowiadać; wyrażał się arogancko, bluźnierczo, złośliwie. Johnnie, cowboy i człowiek ze Wschodu zachowali posępne milczenie, a stary Scully sprawiał wrażenie, jakby był zasłuchany i przejęty, i wciąż wtrącał współczujące okrzyki.

W końcu Szwed oznajmił, że chce pić. Poruszył się w krześle i powiedział, że pójdzie się napić wody.

- Ja panu przyniosę - zaofiarował się zaraz Scully.

- Nie - odparł Szwed pogardliwie. - Sam sobie przyniosę. - Wstał i z miną pana domu odszedł ku gospodarczym pomieszczeniom hotelu.

Skoro tylko Szwed oddalił się i nie mógł ich słyszeć, Scully skoczył na równe nogi i wyszeptał z przejęciem: - Na górze myślał, że chcę go otruć.

- Ee - odezwał się Johnnie - mam już tego dość. Czemuś go nie wyrzucił na śnieg?

- Teraz jest z nim dobrze - oznajmił Scully; - To wszystko było dlatego, że przyjechał ze Wschodu i myślał, że trafił w takie niebezpiecz

- Myślisz, że nam się chce siedzieć na prze ciągu? - ryknął jego ojciec.

Lecz oto wtrącił się wspaniałomyślnie Szwed. - Nie, nie. Niech sobie chłopiec siedzi, gdzie mu się podoba - krzyknął zbyt silnym głosem.

- Dobrze, dobrze - przystał Scully unieżenie. Cowboy i człowiek ze Wschodu wymienili zdziwionę spojrzenia.

Pięć? krzesel utworzyło półksiężyc z jednej strony pieca. Szwed zaczął coś

opowiadać; wyrażał się arogancko, bluźnierczo, złośliwie. Johnnie, cowboy i człowiek ze Wschodu zachowali posępne milczenie, a stary Scully sprawiał wrażenie, jakby był zasluchany i przejęty, i wciąż wtrącał współczujące okrzyki.

W końcu Szwed oznajmił, że chce pić. Poruszył się w krześle i powiedział, że pójdzie się napić wody.

- Ja panu przyniosę - zaofiarował się zaraz Scully.

- Nie - odparł Szwed pogardliwie. - Sam sobie przyniosę. - Wstał i z miną pana domu odszedł ku gospodarczym pomieszczeniom hotelu.

Skoro tylko Szwed oddalił się i nie mógł ich słyszeć, Scully skoczył na równe nogi i wyszeptał z przejęciem: - Na górze myślał, że chcę go otruć.

- Ee - odezwał się Johnnie - mam już tego dość. Czemuś go nie wyrzucił na śnieg?

- Teraz jest z nim dobrze - oznajmił Scully; - To wszystko było dlatego, że przyjechał ze Wschodu i myślał, że trafił w takie niebezpiecz

V

O szóstej, przy kolacji, Szwed buzował jak fajerwerk. Chwilami wydawało się, że zaraz buchnie hałaśliwą pieśnią, a do całego tego szaleństwa zachęcał go stary Scully. Człowiek ze Wschodu otoczył się rezerwą; cowboy siedział z rozdziawionymi w zdumieniu ustami, zapomniawszy o jedzeniu, a Johnnie pochłaniał gniewnie wielkie półmiski. Córki gospodarza, gdy trzeba było podać na stół pieczywo, zbliżały się ostrożnie jak Indianie, a uczyniwszy, co do nich należało, umykały ze źle ukrywanym przerażeniem. Szwed tyranizował całą ucztę i nadał jej pozór okrutnych bachanaliów. Zdawało się, jakby jeszcze wyrósł; brutalną pogardą zaglądał każdemu w oczy. Głos jego rozbrzmiewał w pokoju. Raz, gdy gestem harpunnika pchnął widelec, by nadziać nań kromkę chleba, narzędzie to omal nie przebiło dłoni człowieka ze Wschodu, który spokojnie wyciągnął rękę po tę samą kromkę.

Po kolacji, kiedy mężczyźni ruszyli do drugiego pokoju, Szwed grzmotnął Scully'ego po ramieniu. - No, stary, to był naprawdę tęgi posiłek. - Johnnie pełen nadziei spojrział na ojca; wiedział, że to ramię było bardzo czule po dawnym upadku;

istotnie przez chwilę wyglądało, jakby Scully miał wybuchnąć, ale w końcu uśmiechnął się słabo i nic nie powiedział. Pozostali zrozumieli z jego zachowania, że się poczuwa do odpowiedzialności za nowy nastrój Szweda.

Johnnie jednakże zagadnął ojca na boku: Mógłbyś równie dobrze najać kogoś, żeby cię zrzucił ze schodów. - Scully zasępił się zamiast odpowiedzieć.

Kiedy zebrali się przy piecu, Szwed uparł się, by jeszcze raz zagrać w karty. Scully spróbował łagodnie odciągnąć go od tego planu, lecz Szwed spojrzał nań spode łba. Stary ustąpił, a Szwed zaczął namawiać innych. Ton jego wciąż pobrzmiwał pogrozkami. Cowboy i człowiek ze Wschodu przystali obojętnie. Scully powiedział, że niebawem będzie musiał wyjść na pociąg przyjeżdżający o osiemnastej pięćdziesiąt osiem, więc Szwed natarł na Johnniego. Przez chwilę ich spojrzenia krzyżowały się jak noże, a potem Johnnie uśmiechnął się i rzekł: - Dobrze, zagram.

Utworzyli kwadrat trzymając małą deskę na kolanach. Człowiek ze Wschodu i Szwed znów byli partnerami. Rzecz zasługująca na uwagę, że cowboy już nie grzmocił kartami jak zwykle. Scully tymczasem siedząc przy lampie włożył okulary i z dziwnie księżowską miną zaczął czytać gazetę. W odpowiednim czasie wyszedł na pociąg szósta pięćdziesiąt osiem i mimo przedsięwziętych środków ostrożności, gdy otwierał drzwi, wiew polarnego wiatru wtargnął do pokoju. Wiatr rozrzucił karty i przejął grających do szpiku. Szwed zaklął strasznie. Powrót Scully'ego zakłócił miłą i przyjazną scenę. Szwed znowu zaklął. Obecnie jednak grali znów z napięciem, głowy mieli pochylone

i ręce szybko się poruszały. Szwed przyswoił sobie sposób rąbania kartami.

Scully zajął się swoją gazetą i na długi czas dał się pochłonać sprawom, które dla niego były nadzwyczaj odległe. Lampa źle się paliła i raz przerwał czytanie, żeby poprawić knot. Gazeta, kiedy przewracał kartki, szeleściła łagodnie i przyjemnie. Potem nagle usłyszał okropne słowo: - Szachrujesz!

Takie sceny często są dowodem, że w otoczeniu nie dzieje się zbyt wiele. Każdy pokój może okazać tragiczne oblicze; każdy pokój może być śmieszny. Ta

mała jaskinia stała się teraz potworna jak cela tortur. Nowe twarze tych samych ludzi zmieniły się w jednej chwili. Szwed trzymał olbrzymią pięść przed nosem Johnniego, a Johnnie patrzył spokojnie ponad nią w rozplomienione źrenice swego oskarżyciela. Człowiek ze Wschodu zrobił się blady; szczeka cowboya opadła w wyrazie krowiego zdumienia, co było jednym z jego ważniejszych nawyków. Po, tym słowie pierwszym dźwiękiem w pokoju był szelest gazety Scully'ego, która sfrunęła zapomniana do jego stóp. Okulary również spadły mu z nosa, lecz je ocalił chwytając w locie. Dłoń obejmująca okulary zawisła niezgrabnie w powietrzu. Wlepił oczy w grających.

Prawdopodobnie to milczenie trwało zaledwie sekundę. Potem, gdyby podłoga nagle szarpnęła się pod ich nogami, nie mogliby się szybciej zerwać. Wszystkich pięciu rzuciło się na łeb, na szyję ku jednemu punktowi. Tak się zdarzyło, że John

nie wstając, by rzucić się na Szweda, potknął się troszeczkę na skutek dziwnej instynktownej dbałości o karty i deskę. Strata tej jednej chwili dała czas nadbiec Scully'emu, a cowboyowi popchnąć potężnie Szweda, który zatoczył się do tyłu. Wszyscy jednocześnie dobyli głosu i chrapliwe okrzyki wściekłości, napomnień czy strachu buchnęły z każdego gardła. Cowboy popychał i poszturchiwał Szweda gorączkowo, zaś człowiek ze Wschodu i Scully uczepili się mocno Johnniego; ponad chwiejącymi się ciałami uspokajających ich mężczyzn oczy dwóch wojowników przez cały czas szukały się wzajemnie w zadymionym powietrzu spojrzeniami wyzwania, zarazem rozgnionymi i chłodnymi jak stal.

Oczywiście deska się przewróciła i oto całe karciane towarzystwo leżało rozrzucone na podłodze, gdzie buty mężczyzn deptały tłustych malowanych królów i królowe, którzy głupimi oczyma przypatrywali się wojnie toczącej się nad nimi.

Głos Scully'ego górował nad wrzaskami: - Przestać! Przestać, mówię! Przestać!...

Johnnie, usiłując przedrzeć się przez szyk uformowany przez Scully'ego oraz człowieka ze Wschodu, darł się: - Mówi, że ja szachruję! Mówi, że szachruję! Nikomu

nie pozwolę się obrażać. Jeżeli mówi, że szachruję, to sam jest...!

Cowboy powtarzał Szwedowi: - Zostaw! Zostaw, słyszysz.. - Wrzaski Szweda nie ustawały: - Szachrował! Widziałem! Widziałem...

Człowiek ze Wschodu nawoływał głośno, choć

nikt nie chciał słuchać: - Zaczekajcie chwilę! Zaczekajcie! Po co się bić o partię kart? Zaczekajcie...

W tej wrzawie nie można było dosłyszeć żadnego całego zdania. - Szachrował... Zostaw... On mówi... - te fragmenty przebijały się przez wrzawę rozbrzmiewały wyraźnie. Uderzające, że chociaż Scully niewątpliwie najbardziej hałasował, jego najmniej z całej wzburzonej hałasty było słyhać.

Potem nagle nastąpiła przerwa. Zupełnie jakby wszyscy umilkli dla zaczerpnięcia tchu: i choć w pokoju nadal jarzył się gniew, dało się spostrzec, że nie istnieje już niebezpieczeństwo bezpośredniego starcia, i zaraz Johnnie pchając się naprzód zdołał nieomal dosunąć się do Szweda. - Czegoś powiedział, że ja szachruję? Czegoś powiedział, że ja szachruję? Ja nie szachruję i nie pozwolę nikomu tak mówić!

Szwed powiedział: - Widziałem! Widziałem!

- Będę się bił z każdym, kto powie, że szachruję! - wrzasnął Johnnie.

- Nie będziesz - rzekł cowboy. - Nie tutaj.

- Och, uspokójże się, dobrze? - powiedział Scully wchodząc pomiędzy, nich.

Uciszyło się na tyle, że można było usłyszeć głos człowieka ze Wschodu. Powtarzał: Zaczekajcie chwilę! Po co się bić o partię kart? Zaczekajcie!

Czerwona twarz Johnniego wystawała nad ramieniem ojca. - Powiedziałeś, że ja szachrowałem? - znowu wołał do Szweda.

Szwed wyszczerzył zęby. - Tak.

- No - rzekł Johnnie - to musimy się bić.

- Tak, bić - ryknął Szwed. Był jak opętany. - Tak, bić! Ja ci pokażę, kto ja jestem! Ja ci pokażę, z kim zaczynasz! Może ty myślisz, że ja się nie potrafię bić! Myślisz, że nie potrafię? Ja ci pokażę, ty szulerze, ty szachraju! Tak, szachrowałeś!

Szachrowałeś!

- Dobra, więc chodź pan - rzekł Johnnie chłodno.

Cowboy miał czoło zroszone potem od odpierania wszelkich rodzajów ataków. Zwrócił się rozpaczliwie do Scully'ego: - Co pan teraz zrobi?

W celtyckiej twarzy starego nastąpiła zmiana. Pałał cały; oczy mu świeciły.

- Damy im się bić - odparł mężnie. - Dłużej tego nie ścierpię. Mam już dość tego diabelnego Szweda. Niechaj się biją.

VI

Mężczyźni gotowali się do wyjścia na dwór. Człowiek ze Wschodu był tak zdenerwowany, że z wielkim trudem trafił w rękaw nowej skórzanej kurtki. Kiedy cowboy wciągał futrzaną czapkę na uszy, ręce mu drżały. Tylko Johnnie i stary Scully nie okazywali podniecenia. Te wstępne czynności wykonywano bez stów.

Scully pchnął drzwi. - No, chodźcie - powiedział. Natychmiast przeraźliwy, wiatr zaczął szamotać płomieniem lampy, a ze szkiełka buchnął

kłąb czarnego dymu. Pomruk pieca, który znajdował się w środku przeciągu, wzrósł do ryku śnieżycy. Parę rozrzuconych ochlapanych kart frunęło z podłogi i bezradnie uderzyło o ścianę w głębi. Ludzie schyliwszy głowy pogrążyli się w zawieję jak w morze.

Śnieg nie padał, ale wielkie wiry i śnieżne chmury poderwane z ziemi z zapamiętałym wiatrem sunęły na południe z szybkością kul. Przysypana ziemia jaśniała niebieskawym blaskiem; nieziemskiego atłasu i innych barw nie było, tylko w dole, przy czarnej stacji kolejowej - która wydawała się niewiarogodnie odległa - połyskiwało jedno światełko jak mały klejnocik. Gdy brnęli po pas w śniegu, spostrzegli się, że Szwed coś wywrzaskuje. Scully podszedł do niego, położył mu rękę na plecach i nastawił ucha - Co? - krzyknął.

- Mówię - wrzasnął Szwed ponownie - że nie dam sobie rady z całą bandą. Wiem, że wszyscy na mnie naskoczą.

Scully stuknął go z wyrzutem w ramię. - Skądże, człowieku! - wrzasnął. Wiatr porwał słowa z ust Scully'ego i poniósł daleko ze sobą.

- Jesteście wszyscy bandą... - zagrzemiał Szwed, lecz wiatr pochwycił również zakończenia tego zdania.

Zaraz też odwrócili się tyłem do wiatru i minawszy róg domu przeszli za osłoniętą stronę hotelu. Tutaj ten mały budynek zachował pośród olbrzymiego spustoszenia, jakie poczynił śnieg,

ukształtowany w trójkąt obszar ciężko oszronionej trawy, która trzaskała pod ich stopami. Można było sobie wyobrazić, ile śniegu nawiało po nawietrznej stronie. Gdy przyszedli w to stosunkowo spokojne miejsce, stwierdzili, że Szwed wciąż coś wrzeszczy.

- Och, znam się na tym. Wiem, że się wszyscy na mnie rzucicie. Nie dam rady wam wszystkim!

Scully obrócił się do niego jak oparzony. - Nie będziesz musiał bić się z nami wszystkimi. Będziesz się bił z moim synem Johnniem A jak cię wtedy kto zaczepi, będzie miał ze mną do czynienia!

Szybko czyniono przygotowania. Ci dwaj stali naprzeciwko siebie posłuszni szorstkim rozkazom Scully'ego, którego twarz w lekko rozjaśnionym mroku miała jakby surowe bezosobowe rysy przedstawiane na obliczach rzymskich weteranów. Zęby człowieka ze Wschodu szczękały, a on sam podskakiwał jak mechaniczna zabawka. Cowboy stał jak skała.

Przeciwnicy nie zdejmowali z siebie nic. Byli w zwykłym odzieniu. Pięści mieli uniesione w górę i jeden na drugiego patrzył ze spokojem, który miał w sobie coś z lwiego okrucieństwa.

W momencie tego zawieszenia w umyśle człowieka ze Wschodu odbił się jak na kliszy trwały widok tych trzech mężczyzn - mistrz ceremonii o żelaznych nerwach; pobladły Szwed, nieruchomy i straszny; i Johnnie, pogodny a zarazem okrutny, brutalny a jednocześnie bohaterski. Cały

ten wstęp miał w sobie większą tragedię niż tragedia czynu, a ów aspekt podkreślało długie, głębokie zawrodozanie zamieci, która pędziła koziołkujące i lamentujące płatki śniegu w czarną otchłań południa.

- Naprzód! - wyrzekł Scully.

Dwaj przeciwnicy skoczyli ku sobie i starli się jak młode byczki. Rozległ się przytłumiony odgłos ciosów i przekleństwo, które wydarło się któremuś przez zaciśnięte zęby.

A co do przyglądających się walce, człowiek ze Wschodu odetchnął z ulgą; zelżało w nim napięcie wstępnych przygotowań; cowboy podskoczył z wrzaskiem w górę, a Scully znieruchomiał jakby ze strachu i zdumienia, widząc tę furję walki, na którą sam zezwolił i którą sam urządził.

Przez jakiś czas ta walka w mroku była jedynie kotłowaną latającą ramion, z której dało się wyłowić nie więcej szczegółów, jak z wirującego koła. Czasem zajaśniała jakaś twarz, jakby oświetlona błyskiem światła, upiorna, poznaczona różowymi plamami. W chwilę później walczący mogliby się wydać cieniami, gdyby nie przekleństwa, jakie mimo woli szeptali.

Nagle porwała cowboya żądza bicia i skoczył naprzód z szybkością dzikiego rumaki. - Mocno, Johnnie! Mocno! Wal go! Wal go!

Scully zaszedł mu drogę. - Cofnij się - powiedział.

Człowiek ze Wschodu widział jedynie monotonię niezmienną walki, która była szkaradą. Ta

beładna mieszanina przeciągała się w jego odczuciu w wieczność, podczas gdy on sam skupił się na oczekiwaniu jej zakończenia, bezcennego zakończenia. W pewnej chwili walczący zatoczyli się ku niemu kiedy cofał się pospiesznie, słyszał ich oddechy, jakby oddechy ludzi poddanych torturom.

- Wal go, Johnnie! Wal go! Wal go! - Cowboy miał twarz wykrzywioną na podobieństwo męczyńskich masek w muzeach.

- Spokój - rzekł Scully lodowato.

Potem rozległo się nagle głośne chrząknięcie, niepełne, urwane, postać Johnniego oderwała się od Szweda i upadła w trawę z przyprawiającym o mdłości bezwładem. Cowboy ledwo zdążył przeszkodzić rozszalałemu Szwedowi rzucić się na rozciągniętego na ziemi przeciwnika. - Zaraz, zaraz - powiedział zagradzając ręką

drogę. - Zaczekaj sekundę.

Scully przypadł do boku syna. - Johnnie! Johnnie! mój chłopcze! - W jego głosie brzmiała melancholijna czułość. - Johnnie! Możesz bić się dalej? - Zajrzał niespokojnie w zakrwawioną, opuchłą twarz syna.

Przez chwilę trwała cisza, a potem Johnnie odpowiedział zwykłym głosem: - Tak, ja... to znaczy... tak.

Z pomocą ojca podniósł się na nogi. - Zaczekaj trochę, póki nie nabierzesz tchu.

O parę kroków dalej cowboy pouczał Szweda; - Zaraz, zaraz! Zaczekaj sekundę!

Człowiek ze Wschodu szarpał Scully'ego za rękaw. - Och, dość już - prosił. - Dość już! Skończmy na tym. Dość już!

- Bili! - powiedział Scully. - Odsuń się. - Cowboy odszedł na bok. - Naprzód! - Walczący z nową ostrożnością ruszyli do starcia. Najpierw patrzyli na siebie groźnie, a potem Szwed wymierzył błyskawiczny cios, który poparł całą wagą swego ciała. Johnnie był najwyraźniej na wpół ogłuszony z osłabienia, ale uchylił się jakimś cudem i uderzeniem pięści rozciągnął Szweda na ziemi.

Cowboy, Scully i człowiek ze Wschodu wybuchnęli radosnym okrzykiem, który rozległ się niczym tryumfalny chór żołnierskich głosów, lecz nim zdołał przebrzmieć, Szwed porwał się zręcznie na nogi i natarł dziko, bez pamięci, na swojego wroga. Zaczęła się nowa kotłowanina latających pięści i znów Johnnie odskoczył od Szweda i zwałił się jak tłumok spadający z dachu. Szwed natychmiast podszedł chwiejnie do kołyszącego się na wietrze drzewka i wsparłszy się o nie dyszał jak machina i patrzył dzikimi, rozplómienionymi oczami na twarze mężczyzn schylonych nad Johnniem. Była w nim wówczas jakaś wspaniałość odosobnienia, którą odczuł człowiek ze Wschodu, kiedy uniósłszy raz oczy znad leżącego na ziemi Johnniego ujrzał tę tajemniczą i osamotnioną postać, pełną wyczekiwania.

- Możesz się jeszcze bić, Johnnie? - zapytał Scully łamiącym się głosem.

Syn z trudem chwycił powietrze i lekko otwo

rzył oczy. Po chwili odpowiedział: - Nie... ja już... więcej... nie mogę. - A potem zaczął płakać ze wstydu i bólu. Łzy płynęły mu strużkami przez plamy krwi na twarzy. - On... on ma dla mnie... za dużą wagę.

Scully wyprostował się i zwrócił do wyczekującej postaci. - Obcy człowieku - rzekł opanowanym głosem - z naszej strony koniec. - Następnie głos jego nabrał owej drżącej ochrypłości, która jest powszechnie stosowana przy najprostszych oraz najbardziej grobowych obwieszczeniach. - Johnnie został pokonany.

Zwycięzca nie odpowiadając odszedł ku frontowym drzwiom hotelu.

Cowboy klął, wymyślając przekleństwa nje do powtórzenia. Człowiek ze Wschodu ze zdziwieniem stwierdził, że stoją na wietrze, który zapewne pochodzi z mrocznych arktycznych lodowców. Znowu zaczęło doń docierać zawodzenie śniegu miecionego do swojego grobu na południu. Wiedział teraz, że przez cały czas chłód wsiąkał weń coraz głębiej, i dziwił się, iż jeszcze żyje. Nie przejmował go stan pokonanego mężczyzny.

- Johnnie, możesz iść? - spytał Scully.

- Czy ja go... trochę sprąłem? - zapytał syn.

- Możesz iść, chłopcze? Możesz iść?

Głos Johnniego nagle nabrał mocy. Brzmiało w nim silne zniecierpliwienie. - Pytam, czy go trochę sprąłem?

- Tak, tak - odrzekł pocieszająco cowboy - sprąłeś go tego.

Podnieś!! Johnniego z ziemi. Skoro stanął na nogi, poszedł sam chwiejnych krokiem nie godząc się na żadną próbę pomocy.

Kiedy wyszli za róg, oślepił ich siekący śnieg. Palił ich twarze jak ogień. Cowboy pociągnął Johnniego pod wiatr ku drzwiom. W chwili gdy wchodzili, parę kart jak poprzednio zerwało się z podłogi i uderzyło w ścianę.

Człowiek ze Wschodu przypadł do pieca. Zziąbnął tak grubownie, że gotów był nieomal objąć ramionami rozżarzone żelazo. Szweda nie było w pokoju. Johnnie opadł na krzesło i złożony ręce na kolanach schował w nie twarz. Scully grzejąc po kolei stopy o obramowanie pieca mrucał coś do siebie z celtyckim smętkiem.

Cowboy zdjął futrzaną czapkę i z ogłupiałą i żalosaną miną przeczesywał dłonią rozczochrane kędziory. Z góry słyszeli skrzypienie desek pod nogami chodzącego tu i tam po pokoju Szweda.

Ta smutna cisza została przerwana nagłym otwarciem drzwi prowadzących do kuchni. Jednocześnie wtargnęły kobiety. Rzuciły się ku Johnniemu pośród chóralnych lamentów. Zanim uniosły swój łup do kuchni, by go obmyć i obsypać potokiem słów na zmianę współczujących i znieważających, co jest najwyższą rozkoszą tej pici, matka wyprostowała się i przeszła starego Scully'ego wzrokiem surowej wymówki. - Wstyd, Patryku Scully! - zawołała. - Twój własny syn! Wstyd!

- No, no! Cicho tam! - odrzekł stary słabo.

- Wstyd, Patryku Scully! - Córki, nabrawszy ducha na to hasło, fuknęły pogardliwie ku trzęsącym się współwinowajcom: cowboyowi i człowiekowi ze Wschodu. Zaraz też uprowadziły Johnniego pozostawiając trzech mężczyzn ich posępnym rozmyślaniami.

VII

- Mam ochotę sam się wziąć za tego Holendra - powiedział cowboy przerywając długą ciszę.

Scully ze smutkiem pokiwał głową. - Nie, to by nie pasowało. Tak nie można.

- Dlaczego by nie pasowało? - spierał się cowboy. - Ja w tym nie widzę nic złego.

- Nie - odrzekł Scully z pełnym żalu heroizmem. - Tak nie można. Nie możemy bić człowieka za to, że sprzął Johnniego, kiedy go Johnnie samwyzwał.

- Tak, to prawda - rzekł cowboy. - Ale lepiej niech do mnie nie skacze, bo mógłbym nie wytrzymać.

- Nie odzywaj się do niego ani słowem - przykazał Scully i równocześnie usłyszeli odgłos stóp Szweda na schodach. Nadał swemu wejściu teatralne cechy. Zatrzasnął drzwi za sobą z łoskotem i z chełpliwą miną wkroczył na środek pokoju. Nikt na niego nie patrzył.

- No! - wykrzyknął zuchwale do Scully'ego - chyba teraz pan powie, ile się

należy?

Stary nie zatracił spokoju. - Nic mi się od pana nie należy.

- Uhu! - rzekł Szwed - uhu! Nic mu się nie należy.

Odezwał się cowboy: - Cóżżeś się zrobił taki wesoły, obcy człowieku?

Stary Scully natychmiast się ożywił. - Przestań! - krzyknął wyciągając przed siebie dłoń z rozcapierzonymi palcami. - Ty się zamknij, Bill.

Cowboy splunął niedbale w skrzynkę z trocinami. - A czy ja coś mówię?

- Panie Scully - zawołał Szwed - ile ja jestem panu winien? - Był ubrany do wyjścia i trzymał w ręku walizkę.

- Nic mi pan nie jest winien - powtórzył Scully z tym samym niewzruszonym spokojem.

- Phi! - rzekł Szwed. - Pewnie pan ma rację. Bo jakby przyszło co do czego, to raczej pan byłby mi coś niecoś winien. - Zwrócił się do cowboya: - „Wal go! Wal go!” - przedrzeźniał, a potem buchnął zwycięskim śmiechem. - „Wal go!” - zanosił się od ironicznej wesołości.

Ale równie dobrze mógłby kpić z umarłych. Trzej mężczyźni pozostawali niewzruszeni i milczący i szklistymi oczyma wpatrywali się w piec.

Szwed otworzył drzwi i obrzuciwszy na odchodnym nieruchomą grupę wzgardliwym spojrzeniem wyszedł w zawieję.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Scully i cowboy porwali się na równe nogi i zaczęli kłać. Rzucali

się po pokoju wymachując ramionami i tłukąc pięściami powietrze. - Och, to była ciężka chwila! - zawodził Scully. - To była ciężka chwila! A jak wykrzykiwał, jak się naśmiewał! Za jedną fangę w jego nos dałbym czterdzieści dolarów! Jak tyś to zniósł, Bill?

- Jak ja to zniosłem! - wrzasnął cowboy drżącym głosem. - Pytasz, jak ja to zniosłem? Uh!

- Ja bym go za łeb i o ziemię - wybuchnął stary - i pałką na galarete.

Cowboy stęknął ze zrozumieniem. - A ja bym go za kark iiii.. łup! - wyrznął

dłonią w krzesło z takim hałasem, jakby ktoś strzelił z rewolweru - w morde Holendra, żeby się sam nie mógł odróżnić od ścierwa kojota!

- Ja bym go lał, póki...

- Już ja bym mu pokazał...

A potem razem wzniesli żaloszny, fanatyczny okrzyk - Uuh! Gdybyśmy tylko mogli...

- No!. - No!

- A wtedy ja bym...

- Uuh!

VIII

Szwed mocno ściskając rączkę swej walizki lawirował wśród zawiei jak żaglowiec. Szedł wzdłuż linii nagich drzewek, które, jak wiedział, wyty

Tytuł

Błękitny hotel

Autor instytucja sprawcza

Crane Stephen

Nawigacja

Wszystkich stron:

Szukaj w utworze

Dodaj zakładkę z komentarzem

Strona informacyjna

- Ten postawił na ladzie butelkę, szklanę do whisky i szklanę z gęstą od igiełek lodu wodą. Szwed nalał sobie ogromną porcję whisky i wypił ją trzema łykami. - Ale noc - zauważył barman obojętnie. Udawał ślepotę, która zazwyczaj cechuje ludzi tego typu: można było jednak zauważyć, że ukradkiem przyglądał się na poły startym plamom krwi na twarzy Szweda. - Paskudna noc - powtórzył.

- Et, dla mnie tam dobra - odrzekł Szwed zuchowato, nalewając sobie więcej whisky. Barman wziął od niego pieniądze i przepuścił go przez niklowany regulator. Odezwał się dzwonek, wyskoczyła karteczka z napisem: „centów”.

- Nie - ciągnął Szwed - wcale nie taka zła noc. Dla mnie tam dobra.

- Tak? - mruknął barman apatycznie. Obfity trunek sprawił, że oczy Szweda pokryła mgielka i oddychał trochę ciężiej. - Tak, ja lubię taką pogodę. Lubię. Odpowiada mi. - Najwidoczniej chodziło mu o to, by nadać swym słowom głębokie znaczenie.

- Tak? - znowu mruknął barman. Zaczął spoglądać sennie na zawijasowe ptaki i ptasie zawijasy wyrysowane mydłem na lustrach w głębi baru.

- No, chyba się jeszcze napiję - powiedział Szwed po chwili - A może pan?

- Nie, dziękuję. Ja nie piję - odrzekł barman. Potem zapytał: - Jak pan sobie skaleczył twarz?

Natychmiast Szwed począł się głośno przechwalać. - Jak to jak? W bójce! Sprałem jednego na kwaśne jabłko w hotelu u Scully'ego.

Wzbudził wreszcie ciekawość czterech mężczyzn przy stole.

- Kogo? - zapytał jeden z nich.

- Johnniego Scully - pochwalił się Szwed. - Syna właściciela. Możecie mi wierzyć, że parą tygodni nie ruszy ani ręką, ani nogą. Ale go urządziłem! Nie mógł wstać. Zanieśli go do domu. Napijecie się?

Czterej mężczyźni przebiegle otoczyli się rezerwą. - Nie, dziękujemy - odpowiedział jeden. Była to grupa o dziwnym składzie. Dwaj z nich byli znanymi kupcami; jeden radcą prawnym okręgu; czwarty zaś - zawodowym szulerem z gatunku tak zwanych „porządnych”. Jednakże nawet baczne przyjrzenie się tej grupie nie pozwoliłoby odróżnić szulera od pozostałych mężczyzn, którzy oddawali się bardziej zaszczytnym zajęciom. Cechowało go tak delikatne zachowanie” kiedy przebywał pośród uczciwych ludzi, i tak był roztropny w wyborze swych ofiar, że zaskarbił sobie szczere zaufanie tudzież podziw u męskiej części mieszkańców miasta. Strach i pogarda, z jaką patrzono na jego rzemiosło, niewątpliwie stanowiły powód, dla którego jego spokojna godność jaśniała ponad spokojną godnością ludzi mogących być jedynie kapelusznikami, bilardowymi markierami lub. ekspedientami u kupców korzennych. Poza nieostrożnymi podróżnikami

mi przyjeżdżającymi koleją, ów szuler żerował pono wyłącznie na niebacznym starszawym farmerach, którzy, gdy im dopisywały zbiory, zjeżdżali się do miasta z całą pychą i dufnością nieuleczalnej głupoty. Zasłyszawszy czasem określną drogą o ztupieniu takiego farmera ważni ludzie w Romper nieodmiennie śmiali się w pogardzie nad ofiarą, a jeśli w ogóle myśleli o wilku, to z pewną dumą, wiedząc, że nie ośmieliłby się on zaatakować ich męstwa i mądrości. Ponadto było powszechnie wiadomo, że szuler ten miał prawdziwą żonę oraz dwoje prawdziwych dzieci w ślicznym domku na przedmieściu, gdzie wiódł przykładne życie rodzinne; i gdy ktokolwiek podsunął myśl o sprzecznościach jego charakteru, tłum z miejsca przekrzykiwał go opowiadaniem o tym cnotliwym rodzinnym kółku. Mężczyźni, którzy wiedli przykładne żywoty rodzinne, oraz mężczyźni, którzy takowych nie prowadzili, wszyscy ustępowali gromadnie zauważywszy, iż nie ma więcej nic do powiedzenia.

Jednakże kiedy nakładano nań jakieś ograniczenia - jak na przykład gdy silna klika członków nowo założonego klubu Pollywog odmówiła mu prawa pokazywania się, nawet w charakterze widza, w pokojach tej organizacji - otwartość i uprzejmość, z jaką godził się na takie zarządzenie, rozbrajała wielu jego wrogów oraz wiązała jeszcze silniej z przyjaciółmi. Tak nieodmiennie podkreślał różnicę pomiędzy sobą a poważnymi

obywatelami miasta, że jego zachowanie było niczym stale trwający komplement.

Nie można też pominąć zasadniczego faktu stanowiącego o jego pozycji w Romper. Jest kwestią bezsporną, że we wszystkich sprawach poza jego zawodem, w tych wszystkich sprawach, które wiecznie istnieją między ludźmi, ten oszukujący karciaz był tak szlachetny, tak sprawiedliwy, tak moralny, iż gdyby przyszło co do czego, okazałoby się, że dziewięć dziesiątych obywateli miasta nie ma wcale czystszej niż on sumienia.

I oto zdarzyło się, że siedział tutaj w barze z dwoma znanymi kupcami i radcą prawnym okręgu.

Szwed pił dalej czystą whisky i bełkotał do barmana usiłując go nakłonić do wzięcia udziału w pijatyce. Chodź pan, napijemy się. No. Co, nie! Malutkiego. Rany Boskie, spralem dziś wieczór faceta i chcę to uczcić. I to jak go spralem! Panowie - zawołał do mężczyzn przy stole - napijcie się?

- Sza! - uciszył go barman.

Siedzący u stołu, pilnie na Szweda uważając, udawali, że są pogrążeni w głębokiej rozmowie, teraz jednakże jeden podniósł wzrok i rzekł krótko: - Dziękujemy. Nie chcemy więcej..

Na tę odpowiedź Szwed wypiął pierś jak kogut. - Dobra - wybuchnął - zdawałoby się, że w tym mieście nie ma nikogo, kto by się ze mną napił. Tak wygląda, nie? Dobra!

- Sza! - uciszał go barman.

- Te - warknął Szwed - nie próbuj mnie uciszać. Ja tego nie zniosę. Jestem dżentelmenem i chcę, żeby ludzie ze mną pili. I to zaraz. W tej chwili. Zrozumiano? - postukał w ladę knykciami.

Całe lata doświadczenia uczyniły barmana nieczułym na takie wybryki. Nasepił się tylko. - Słyszę - odrzekł.

- No, to słuchaj dobrze! - zawołał Szwed. - Widzisz tamtych? Oni zaraz będą ze mną pili, zapamiętaj sobie. Tylko popatrz.

- Hi! - krzyknął barman - to nie przejdzie!

- Czemu nie? - spytał Szwed. Podszedł do stolika i tak się zdarzyło, że położył rękę właśnie na barkach szulera. - No, co będzie? - zapytał gniewnie - Prosiłem, żebyś się ze mną napił.

Szuler odwrócił tylko głowę i rzekł przez ramię: - Przyjacielu, ja cię nie znam.

- Do diabła! - zaklął Szwed. - Chodź i pij.

- Słuchaj no, chłopcze - poradził mu grzecznie szuler - zabierz tę rękę i idź pilnować własnych spraw. - Był niskim i szczupłym mężczyzną i dziwnie w jego ustach brzmiał opiekuńczy ton, jakim się zwrócił do tęgiego Szweda. Pozostali trzej nic nie mówili.

- Co! Nie chcesz ze mną pić, ty fircyku? No, to zobaczymy! Zobaczymy! - Chwycił szulera za gardło i zaczął ciągnąć go z krzesła. Porwali się wszyscy na nogi. Barman wyskoczył zza baru. Podniósł się zgiełk i w dłoni szulera błysnęło

długie ostrze. Mignęło w przód i przeszło jak melon ludzkie ciało, tę twierdzą cnoty, mądrości i potęgi. Szwed upadł z okrzykiem najwyższego zdumienia.

Natychmiast poważni kupcy i radca prawny okręgu wycofali się tyłem z baru. Właściciel baru stał na osłabłych nogach trzymając się oparcia krzesła i patrzył w oczy mordercy.

- Henry - powiedział szuler wycierając nóż jednym z ręczników wiszących na poręczy przy barze - powiedz, gdzie mnie szukać. Będę czekał w domu. - A potem znikł. Za chwilę barman znalazł się na ulicy krzycząc o pomoc, a co więcej, o towarzystwo.

Samotny trup Szweda miał oczy wlepione w; straszliwy napis u góry registratora: „Ten przyrząd rejestruje cenę Twojego zakupu”.

IX

W parę miesięcy później cowboy właśnie smażył wieprzowinę nad paleniskiem pieca w małym ranczo niedaleko granicy Dakoty, gdy rozległ się szybki tętent kopyt i za chwilę wszedł człowiek ze Wschodu z listami i gazetami.

- Ten, który zabił Szweda - powiedział z miejsca - dosteł trzy lata. To niewiele, co?

- Co? Trzy lata? - Rozmyślając nad tą wieścią, cowboy trzymał w powietrzu patelnię. - Trzy lata. To niedużo.

- Nie. To lekki wyrok - odrzekł człowiek ze Wschodu odpinając ostrogi. - On się cieszył dużą sympatią w Romper.

- Gdyby barman był do rzeczy - zauważył cowboy z namysłem - toby się wmieszał zaraz na początku i dał Holendrowi butelką po łbie. Obeszłoby się bez morderstwa.

- Tak, mogło się stać mnóstwo rzeczy - rzekł cierpko człowiek ze Wschodu.

Cowboy postawił patelnię z wieprzowiną na ogniu, ale nadal filozofował. - Śmieszne, no nie? Gdyby nie powiedział, że Johnnie szachruje, chodziłby teraz po świecie. Był okropnie głupi. I do tego graliśmy dla zabawy. Nie na pieniądze. On był na pewno wariat.

- Żal mi tego szulera - powiedział człowiek ze Wschodu.

- Mnie też - rzekł cowboy - nie należało mu się nic za zabicie takiego faceta.

- Ten Szwed mógł nie zostać zabity, gdyby wszystko było jak należy.

- Mógł nie zostać zabity! - wykrzyknął cowboy. - Wszystko jak należy.

Przecież powiedział, że Johnnie szachruje, i zachowywał się jak osioł. A w barze sam się napraszał, żeby mu przyłoić. - Tymi argumentami cowboy zmęczył i rozwścieczył człowieka ze Wschodu.

- Głupi jesteś! - krzyknął ze złością. Jesteś milion razy większym osłem niż ten Szwed. Teraz posłuchaj, co ci powiem. Słuchaj! Johnnie naprawdę szachrował!

- Johnnie - powiedział cowboy zmieszany. Pomilczał chwilę, a potem rzekł z pewnością siebie: - No, ale przecież gra była tylko dla zabawy.

- Dla zabawy czy nie dla zabawy - powiedział człowiek ze Wschodu - Johnnie szachrował. Sam widziałem. Wiem. Sam widziałem. A ja się nie zachowałem, jak na mężczyznę przystało. Pozwoliłem, żeby Szwed walczył sam. A ty... ty się tylko ciskałeś i chciałeś się bić. A stary Scully! Wszyscy maczaliśmy w tym palce. Ten biedak szuler nie jest nawet rzeczownikiem. Jest tylko rodzajem przysłówka. Każdy grzech jest wynikiem współdziałania. Nas pięciu współdziałało w zamordowaniu tego Szweda. Zazwyczaj w każde morderstwo jest wmieszanych od dziesięciu do czterdziestu kobiet, ale zdaje się, że w tym wypadku było tylko pięciu mężczyzn: ty, ja, stary Scully, Johnnie; a ten nieszczęsny biedak szuler stanowił tylko punkt kulminacyjny, szczytowy punkt ludzkiego działania, i na nim się skrupiła cała kara.

Dotknięty i zbuntowany cowboy krzyknął na ślepo w tę mgłą tajemniczej teorii: - Ja przecież nic nie zrobiłem!